Rok I

Nr. 2

KILIŃSKI

NZR

PAMIĘTNIKI, OPISY
WSPOMNIENIA, BIOGRAFJE

STOWARZYSZENIE KILIŃCZYKÓW
I ENZETEROWCÓW

Rok I — Warszawa — Kwiecień 1936 — Nr. 2

KILIŃSKI

Józef Jeremski

Na marginesie walk bratobójczych w Łodzi

Łódź w owe czasy była, a i dziś jest jeszcze w dość wysokim stopniu miastem niemieckiem i żydowskiem. Wówczas dominowała w niem niemczyzna. Wychodziły tam dwa pisma codzienne niemieckie, gazet polskich nie było. Później dopiero powstały dzienniki polskie „Rozwój" i „Kurjer Łódzki". O ruchu społecznym wśród ludności polskiej nie było mowy. Coś tam pod ziemią kluło się i rozrastało, ale było to zaledwie ziarenko rzucone na ugór życia narodowego w kraju Szerokie rzesze społeczeństwa o robocie podziemnej jakiejś tam nielicznej garstki pionierów ruchu społecznego nie wiedziały.

Niemcy natomiast wykazywali wśród swoich intensywną działalność społeczną, a władze rosyjskie w pracy tej im nietylko nie przeszkadzały, ale wszystko co tchnęło duchem niemczyzny, było przez te władze mile widziane. Nic dziwnego, skoro weźmiemy pod uwagę, że Niemcy żyli w zgodzie z władzą i we wszystkich niemal domach niemieckich widziało się obok portretu Wilhelma, portret Aleksandra, a potem Mikołaja. Wieleż to razy widzieliśmy na ulicach Łodzi maszerujących w wojskowym ordynku członków strzeleckiego związku niemieckiego, śpiewających niemieckie pieśni. Niemcy zresztą stanowili żywioł napływowy, w żadnym wypadku nie grożący całości imperjum rosyjskiego, czego o ludności polskiej nie można było powiedzieć. Polacy byli narodem podbitym i skorym do buntu, mającym dzieje wielkiej ongiś świetności państwowej.

Dzieje te były źródłem, z którego czerpaliśmy siłę naszych uczuć patrjotycznych, z opowiadań naszych dziadów, z książek historycznych dowiadywaliśmy się o przeszłości Polski i dlatego też pionierzy narodowej iredenty pracę swoją zaczynali od szerzenia oświaty. Trzeba było,

aby ludzie czytali i uczyli się poznawać własny kraj, własny naród, samych siebie.

Tajny ruch oświatowy szerzył się we wszystkich warstwach społeczeństwa, a przedewszystkiem wśród chłopów i robotników, ludzie zamożni bowiem jakoś sobie radzili, choć i tutaj nie wszystko było tak jak należało — w szkołach uczono o wszystkiem, tylko nie o Polsce, a jeśli — to fałszywie. Tedy i tutaj trzeba było pracować i stać na straży podtrzymywania ducha buntu. Robotnicy wsłuchiwali się w te opowiadania i budziła się w nich nienawiść do Rosji.

Ale nietylko nienawiść do Moskwy w nich rosła, jednocześnie budziło się w nich uczucie miłości ojczyzny i poczęli marzyć, aby kiedyś doczekać się czasów walki o Polskę.

Takie albo tym podobne były początki budzenia się uczuć narodowych w sercach wszystkich robotników polskich, do których potem docierały odezwy i pisma nielegalne — socjalistyczne i narodowe. Do kogo mocniej przemówiły argumenty jednych lub drugich, szedł za nimi i kształtował swój umysł — według doktryny socjalistycznej, albo w duchu patrjotycznym. Ogół robotniczy, zarówno po stronie socjalistycznej, jak narodowej, szedł za pierwszym powiewem wiatru — skąd jaki powiał, tam ten czy ów robotnik się skłaniał. Krystalizacja poglądów następowała później i wówczas dopiero ten czy inny wciągał się do takiej czy innej organizacji. Partje socjalistyczne stały się zmiejsca ośrodkami walki, dlatego ruch robotniczy w Łodzi — zdaje się i wszędzie — w pierwszych dniach swych narodzin, miał oblicze raczej socjalistyczne niż narodowe. Narodowcy zaczynali swą pracę od szerzenia oświaty, wychodząc z założenia, że walczyć trzeba umieć, trzeba się przedewszystkiem w walce uświadomić.

Dlatego może wielu robotników przeszło w życiu przez próbę walki z samym sobą, boć skoro najprzód dostawały się do ich rąk w fabrykach druki socjalistyczne, a w duszach żyła nienawiść do caratu, to hasła rewolucyjne porywały i podczas pierwszych strajków i wystąpień manifestacyjnych robotnicy występowali solidarnie bez różnicy przynależności partyjnej. Czynili to bezkrytycznie, ufając odezwom, które poprostu znajdywali rozrzucane w fabrykach. Dopiero podczas strajków, dopiero na wiecach w salach fabrycznych robotnicy poznawali się lepiej i odnajdywali wtajemniczonych. Wtenczas też dekonspirowali się przed ogółem robotniczym narodowcy i powstawały dyskusje, prowadzone podczas pracy lub przerw obiadowych. Szerszy ogół robotniczy stał jeszcze od tych walk słownych zdala, przysłuchiwał się dyskusjom i dzielił na dwie grupy obserwatorów.

Ruch narodowy robotniczy w tych czasach wchodził już na szer-

sze tory życia publicznego, aczkolwiek nie miał jeszcze charakteru masowego.

Z Rosji nadchodziły wiadomości o rewolucji, która wreszcie dotarła i do Polski. W fabrykach mówiono o buntach i strajkach, i niebawem też miasto całe ogarnęło wrzenie. Wybuchł strajk. Stanęły wszystkie fabryki. Strajk ten przyniósł zwycięstwo robotnikom — skrócono dzień roboczy o dwie godziny.

Podczas pierwszego powszechnego strajku w Łodzi — pierwszego w początkach rewolucji rosyjskiej, Łódź bowiem przeżywała już przedtem w różnych okresach czasu mniej lub więcej korzystne strajki — robotnicy przebywali w fabrykach, w których rozmieszczono wojsko. Zachowywało się ono jednak spokojnie, tak jak i robotnicy. Od czasu do czasu tylko w tej czy innej fabryce, w którejś tam sali fabrycznej odbył się wiec, na którym przemawiali mówcy z S. D. i P. P. S.

Mówcy ci cały swój wysiłek kierowali do pobudzenia robotników do wystąpień manifestacyjnych. Nie było to tak zwane uświadomienie proletarjatu, ale budzenie w nim instynktów nienawiści do wszystkiego, co było wrogie doktrynie klasowości i rewolucji.

Proletarjat stał na niskim poziomie kultury, robotnicy w swej olbrzymiej większości byli półanalfabetami — wielu analfabetów — i wszystko przyjmowali bezkrytycznie. Im bardziej skrajne hasła, im więcej obietnic płynęło z ust agitatora, tem większem cieszył się powodzeniem. Między mówcami obu partyj socjalistycznych trwała walka o duszę robotnika. Prześcigano się w obietnicach, któremi szafowano hojnie, po szczęście należało tylko wyciągnąć rękę — do fabrykantów i caratu. Bezkrytycznego robotnika ogarniał zapał i wiara w rychłe urzeczywistnienie się socjalistycznych nierealnych obietnic.

Ale oto wprowadzono dziesięciogodzinny dzień roboczy. Robotnicy odnieśli zwycięstwo, które agitatorów socjalistycznych nie zadowoliło, chodziło przecież o ośmiogodzinny dzień roboczy. Ukazały się odezwy do dalszego kontynuowania strajku. Dowodzono, że skoro odebrano kapitalistom dwie godziny pracy dziennej, to można będzie odebrać i cztery. Ale do izb robotniczych zakradał się głód i hasła dalszego strajku traciły na sile dynamicznej. Robotnicy wrócili do pracy.

Jednakże rewolucyjna akcja partyj międzynarodowych już weszła na szerokie tory. Odezwy ukazywały się niemal codziennie i z coraz to inną treścią, choć do jednego zmierzające celu — zrewolucjonizowania mas. Mówcy socjalistyczni prawie codziennie zjawiali się w poszczególnych fabrykach i po skończonej robocie, bardzo często i podczas pracy zatrzymywano maszyny i urządzano t. zw. masówki.

Podczas gdy partje socjalistyczne uświadamiały masy w kierunku

rewolucji, narodowcy pracowali na zebraniach, kolportowali druki, w których zawsze na pierwszym planie była Polska i hasła walki o jej wolność. Wierzyliśmy, że robotnik przedewszystkiem musi zdobyć wolność narodową, aby móc zyskać zwycięstwo w walce z wyzyskiem kapitalistycznym. Nie odtrącaliśmy od siebie haseł ekonomicznych, ale były one dla nas czynnikami wtórnymi. Między nami a socjalistami istniała zasadnicza różnica: nam chodziło przedewszystkiem o sprawy ducha, potem dopiero żołądka, im przedewszystkiem o żołądek; dla nich walka z kapitalizmem była fundamentem ,na którym opierała się cała ich ideologja, dla nas tym fundmentem ideologicznym była Polska; socjalistów, którzy rekrutowali się z niewielkiej ilości robotników narodowości polskiej, za to garnęli się do nich Niemcy i Żydzi, nie bolało; dla nich współżycie fabrykanta łódzkiego — Niemca albo Żyda — jako twór niższego gatunku dlatego, że był to twór polski, nas to bolało; dla nich współżycie fabrykanta łódzkiego — Niemca albo Żyda — z władzą moskiewską, było współżyciem kapitalizmu z reakcją, dla nas było to skojarzenie pokrewnych sobie dusz wrogich narodowości polskiej; wzorem ich działalności i walki był proletarjat Zachodu, nam przyświecały idee naszych bohaterów narodowych; myśmy chcieli niepodległej Polski, oni — międzynarodowej władzy proletarjatu.

N. Z. R. także rewolucjonizował masy, choć w innym zupełnie kierunku. W walce o szkołę polską robotnik narodowy odegrał wybitną rolę. Niewielki wprawdzie był jego udział w samym bojkocie szkoły rosyjskiej, bowiem robotnik ze szkoły wogóle nie korzystał, posyłając dziecko do fabryki od najmłodszych lat. Ale przecież społeczeństwo ówczesne nie było tak skwapliwe do walki, jak to dzisiaj ten i ów z dumą mówi. Dzisiaj każdy, kto w owe czasy był w wieku szkolnym, pretenduje do roli bojownika o szkołę polską, podczas gdy sobie dobrze przypominamy,że narodowcy, młodzi fanatycy patrjotyzmu, zorganizowani w grupy, uzbrojeni w pałki i rewolwery, przepędzali dzieci ze szkół, dzieci te bowiem, mimo ogłoszenia bojkotu przez narodowe organizacje, były posyłane przez rodziców do szkoły moskiewskiej. Odezwy nawołujące do bojkotu i hasła patrjotyzmu trzeba było popierać argumentem pałki i rewolweru. Nietylko dzieci żydowskie czy niemieckie — tym nie można się było dziwić — ale i dzieci polskie.

Praca N. Z. R. nad uświadomieniem warstwy robotniczej szła w kilku kierunkach. Rozwijał się ruch spółdzielczy, powołano do życia nielegalną organizację gimnastyczną „Sokół", gdzie młodzi — i nawet starsi enezeterowcy — ćwiczyli się wojskowo, w późniejszych czasach powstała Polska Macierz Szkolna i enzeterowcy znowu masowo zapisują się tam na członków i współpracują nad rozwojem oświaty. Towarzy-

stwo Oświaty Narodowej ograniczyło się teraz do pracy już tylko na wsi, pozostawiając całą akcję uświadamiającą robotników Narodowemu Związkowi Robotniczemu.

Pod wpływem wiadomości o klęskach Rosji w wojnie japońskiej, partje socjalistyczne w Polsce, a tem samem i w Łodzi prowadziły nieustanną akcję strajkową. Już nie o zdobycze na gruncie ekonomicznym chodziło, ale o podkreślenie solidarności z rewolucją rosyjską. O interesy polskiej klasy robotniczej nie troszczono się, a już o interesach narodowych mowy nie było. Przeciwnie, interesy te często kolidowały z celami rosyjskiej rewolucji, społeczeństwu polskiemu bowiem chodziło o wewnętrzną siłę narodową, a bezmyślne strajki siłę tę osłabiały, socjalistom szło o podtrzymywanie wrzenia rewolucyjnego bez względu na skutki, przyświecał im bowiem jeden cel — obalenie caratu.

Jednakże bezmyślne strajki już nie przerażały władzy carskiej, godziły natomiast w interesy robotnicze, nie przynosiły bowiem żadnych nowych zdobyczy, a przyczyniały się do rozwoju nędzy wśród mas robotniczych. Robotnicy przystępowali do strajków niechętnie, a w wielu wypadkach pod groźbą pałki i brauninga. Siłą rzeczy N. Z. R. reprezentował w tym wypadku rozsądek, stał zatem na stanowisku przeciw bezplanowym, dla samej zasady wywoływanym strajkom. W nielegalnych swoich organach i odezwach N. Z. R. przekonywał robotników, że strajk jest ostateczną bronią robotników w walce z kapitalizmem i broni tej nie wolno było nadużywać, bo stawała się ona tym sposobem bezwartościowa.

Odtąd każde wezwanie strajkowe partyj socjalistycznych było przez N. Z. R. rozważane i jeśli istniał choć cień nadziei zwycięstwa, strajk popierano, jeśli tej nadziei nie było, zwalczano go, nawołując robotników do nieprzerywania pracy. Tego rodzaju stanowisko nie mogło teoretycznie liczyć na popularność w masach, mimo to N. Z. R. nie wahał się stawiać sprawy po męsku i okazało się, że masy szły za hasłami enzeterowskiemi.

Międzynarodówkę ogarniało zdumienie i wydano przeciwko narodowcom liczne odezwy, nie gardząc najordynarniejszemi i najplugawszemi wyzwiskami i oszczerstwami. Ale im więcej spotwarzano ruch narodowy, tem bardziej rozrastał się i rósł w coraz potężniejszą moc. Ruch enzeterowski przybrał charakter masowy i niebawem miał stać się potęgą w życiu społecznem i politycznem polskiej klasy robotniczej.

Tymczasem partje socjalistyczne wypowiedziały temu ruchowi walkę. Postanowiły go unicestwić. Międzynarodówka nie chciała pogodzić się z faktem istnienia narodowej organizacji robotniczej, unie-

możliwiającej opanowanie robotników polskich przez żywioły kosmopolityczne. Nie pomogły masówki, nie pomogły oszczerstwa i zohydzanie nacjonalizmu, sądzono, że pomoże teror. Do fabryk wpadały bojówki socjalistyczne i robotników, nie odnoszących się z zapałem do strajków bito i przepędzano precz od maszyn. Jeżeli nie przekonała opornych pałka, poszły w ruch brauningi.

Taka była sytuacja, gdy car ogłosił konstytucję, która pozwalała na zgromadzenia i zrzeszanie się. Sytucję tę postanowił wykorzystać N. Z. R. i przystąpił do powołania do życia związków zawodowych. Związki te miały już swoje kadry, od kilku bowiem miesięcy tworzyły się one nielegalnie. Trzeba tu podkreślić, że związki zawodowe enzeterowskie były pierwszymi związkami w Kongresówce. Socjaliści, którzy wierzyli w rychły upadek caratu, ruch zawodowy zwalczały, twierdząc, że ruch ten będzie mógł powstać tylko po upadku cara. Enzeterowski ruch zawodowy był potępiany i uważany za największe zło klasy robotniczej.

Ponieważ jednak N. Z. R. nie ustawał w swej pracy i zdobywał coraz szersze rzesze robotnicze i nic już tego ruchu nie mogło złamać, socjaliści wystąpili do walki czynnej z narodowcami. Zaczęto usuwać z fabryk działaczy narodowych, a gdy ci się bronili, bito ich i strzelano do nich.

O walkach bratobójczych pisano już wiele i do tego tematu ciągle się jeszcze od czasu do czasu powraca Są to jednak głosy do ówczesnego enzeteru odnoszące się wrogo, albo w najlepszym razie nieprzychylnie. Obrońców N. Z. R., jeśli chodzi o walki bratobójcze, nie spotyka się prawie wcale, prokuratorów natomiast jest bardzo wielu. W togę oskarżycielską ubierają się nawet bardzo młodzi ludzie, którzy w owych straszliwych czasach ssali smoczki, albo ich wogóle jeszcze nie było. Oskarżenia swe budują na wydawanych ongiś odezwach socjalistycznych, pełnych kłamstw i oszczerstw. Przytem rzecz dziwna — o trupach enzeterowców się nie mówi, nazwisk zabitych się nie wymienia, byłoby to bowiem zbyt niebezpieczne, okazałoby się wtedy, że te nazwiska to — narodowcy. Z publikacyj socjalistycznych na temat walk bratobójczych wynika, że narodowcy mordowali, a socjaliści, jak barankowie szli na rzeź niewiniątek — kozły ofiarne idei, potulni, cisi, wyrozumiali, dobroduszni. Enzeterowcy do nich z rewolwerami, a oni, kochani towarzysze — z różdżką oliwną... Gdy jednak przyjdzie zwiedzać cmentarze łódzkie i policzyć groby zabitych w walkach bratobójczych robotników, gdy odczyta się ich nazwiska, będą to Bezingery, Majery, Olszewscy, Budzińskie, Kolembisiaki, Michalakowie, Mikołaj-

Ofiary mordów socjalistycznych



1. **Jan Michalak,** zamordowany 4 stycznia 1907, 2. **Szczepan Orłowski,** 3. **Zygmunt Kurowski,** 4. **Ignacy Sowiński,** zamordowani w październiku 1906, 5. **Leon Olszycki,** zabity w styczniu 1907, 6. **Jan Glonek** zabity w listopadzie 1906

czykowie, Józefiakowie, Owsianki, Kurki i tylu, tylu innych enzeterowców, których przecież na miły Bóg nie pomordowali ich koledzy.

O walkach tych jeszcze nieraz będą ludzie mówili i pisali, straszliwe te czasy muszą być omówione i wyjaśnione wszechstronnie, aby nie było żadnych niedomówień, żadnych objekcyj kto winien. Tymczasem jedno trzeba stwierdzić: zabijali narodowcy — zabijali socjaliści, ale stroną zaczepną byli socjaliści, podczas gdy N. Z. R. tylko się bronił i jeśli wkońcu atakował, to w odwecie. Enzeterowcy spłacali tylko dług.

Ale taki czy inny początek walk bratobójczych, takie czy inne ich zakończenie, pierwsze czy ostatnie trupy robotników nie powiedzą gdzie leży przyczyna tego straszliwego przelewu krwi bratniej. Przecież tak z niczego, albo tylko ze sporów i polemik w fabrykach między robotnikami te walki nie mogły powstać, a w każdym razie nie mogły przybrać tak okropnych rozmiarów. Iskrą, która rozniecila pożar, była nienawiść socjalistyczna do idei narodowej wśród robotników polskich. Walka klasowa tak zaciemniła umysły ówczesnych prowodyrów międzynarodówki na gruncie polskim, że wszystko co wypływało nie ze źródeł kosmopolityzmu, a trafiało do serc i umysłów robociarskich, było traktowane jako zaraza, jako zgnilizna, jako zło, które należało tępić bezlitośnie. Robotnik narodowcem? To było w pojęciu doktrynera socjalistycznego coś niepojętego, a niepojętego tem bardziej, że tym doktrynerem był w większości wypadków Żyd, nieznający pojęcia ojczyzny, albo Niemiec, który ojczyznę swoją zostawił poza granicami Polski. W pojęciu tych ludzi robotnik musiał być klasowcem. Jeśli nim nie był, to chyba jakiś nieuświadomiony, którego trzeba było oświecić, albo matoł.

Nadchodził okres wyborczy do Dumy rosyjskiej. N. Z. R. był organizacją współdziałającą wówczas z Narodową Demokracją i w wyborach wziął udział. Socjaliści wybory bojkotowali, chociaż już do drugiej Dumy Socjaldemokracja wzięła udział w wyborach. To też dziwnem musi się dzisiaj wydać stanowisko tej partji do pierwszej Dumy, która przecież w ordynacji wyborczej, ani w swej strukturze reprezentacji parlamentarnej niczem się od drugiej nie różniła.

Bojkot wyborów do pierwszej Dumy przez esdecję miał jednak swoje krwawe następstwa. I to nie krwawe w stosunku do carskiej władzy, ale do polskiego społeczeństwa. Socjaliści chcieli terorem zmusić społeczeństwo polskie również do bojkotu Dumy. Nie chodzi tu w tej chwili o samo zagadnienie udziału w wyborach czy bojkotu, kwestję tę bowiem możnaby dzisiaj oceniać różnie i każda ocena będzie miała swoje plusy i minusy, ile o bezwzględność socjalistyczną wobec tych,

którzy nie godzili się na bojkot. Nie liczono się z niczem, byle cel osiągnąć i do wyborów nie dopuścić. Organizowano bojówki w celach napadu na zgromadzenia przedwyborcze, przytem obie partje socjalistyczne działały solidarnie. Broń przygotowana do walki z caratem, skierowana została w stronę polskiego robotnika, bo na tym odcinku życia społecznego, socjalistom najbardziej zależało. No i polała się krew, padły trupy. Jakże niepotrzebnie, skoro w kilka miesięcy później ci sami ludzie, którzy przedtem strzelali do swych braci za udział w wyborach, do tych wyborów poszli.

Taktyka socjalistyczna wobec Dumy odbiła się także na walkach bratobójczych i przyczyniła do ich wzmożenia. I tutaj, jak zresztą zawsze w ciągu całego okresu tych walk, N. Z. R. był stroną atakowaną, a jeżeli enzeterowcy chwytali za broń, to w obronie własnego życia — nigdy jako napastnicy. Nawet tam, gdzie rzekomo narodowcy atakowali przeciwników partyjnych, atakowali w obronie swoich skrzywdzonych kolegów. Stwierdzały to dość często w pierwszych dniach walk bratobójczych, gdy nie przybrały one jeszcze tak straszliwych rozmiarów, sądy międzypartyjne.

Po ogłoszeniu konstytucji październikowej, która „gwarantowała" wolność zebrań i związków, N. Z. R. przystąpił do organizacji legalnych związków zawodowych .Socjaliści zwalczali i ten ruch enzeterowski. Wogóle cokolwiek robił N. Z. R., nie podobało się socjalistom, choćby to miało przynieść klasie robotniczej korzyści. Narodowcy nie mieli zdaniem socjalistów prawa do reprezentowania interesów robotniczych w żadnym wypadku. Zwalczali współdzielczość, zwalczali legalność związków zawodowych, zwalczali wybory do Dumy, a potem sami tworzyli kooperatywy, sami organizowali legalne związki zawodowe, sami szli do Dumy. Jak z tego widać, każda inicjatywa w jakimkolwiek kierunku wychodziła zawsze ze strony N. Z. R. — z wyjątkiem walk bratobójczych. Tu inicjatywę podjęli socjaliści.

Rozważania na temat walk bratobójczych są niezmiernie trudne i przykre, bo jednak, bez względu na to, kto zawinił, walki te są w dziejach polskiego ruchu robotniczego smutną kartą. Nie wolno nam jednak tych spraw przemilczać, już choćby z tego względu, że socjaliści i komuniści którzy są spadkobiercami ideowymi ówczesnych esdeków, ilekroć zabierają głos o czasach przeszłych i wspominają o N. Z. R., tyle razy o tych walkach mówią. Ba, gdyby tylko mówili i oceniali je z dobrą wolą i pewną dozą uczciwości, bezstronny historyk umiałby z tych opisów wykrzesać jaką taką prawdę. Ale w duszach tych ludzi pozostał stary jad nienawiści do enzeterowców, przytem nienawiść ta jest stokroć większa, stokroć potężniejsza aniżeli nawet nienawiść klasowa.



Augustyn Ciesielski, zamordowany przez socjalistów 20 grudnia 1906 r.

Socjaliści i komuniści wybaczą wszystkim klasom posiadającym ich stan posiadania, ale nie wybaczą braciom robotnikom patrjotyzmu, nie mogą im darować ich krytycznego ustosunkowania się do międzynarodówki.

Nie należy się temu dziwić, boć przecież nie kto inny, tylko N. Z. R. nie pozwolił im w opanowaniu klasy robotniczej polskiej i uczynienia z tej klasy narzędzia do wyżłobienia w społeczeństwie łożyska, przez które spłynęłoby do Polski „dobrodziejstwo“ zwycięskiej rewolucji międzynarodowej. Nie kto inny tylko N. Z. R., przez pobudzenie w klasie robotniczej polskiej ducha patrjotyzmu, uniemożliwił bolszewizmowi wciągnięcie w rydwan „dyktatury proletarjatu“ polskich mas robotniczych.

Międzynarodówka od samego początku rozbudzenia w Polsce ruchu robotniczego zdawała sobie doskonale sprawę, że patrjotyzm polskiego proletarjatu będzie twardą opoką, której nie przemogą jaknajskrajniejsze hasła. Mniejsza o to, że według zapatrywań socjalistycznych nacjonalizm u robotnika idzie w parze z jego „nieuświadomieniem“, ale z tym faktem muszą się przywódcy międzynarodówki godzić i godzili się. Chwycili się wypróbowanego systemu terorystycznego i stąd walki bratobójcze.

Nienawiść międzynarodówki do narodowego ruchu robotniczego nie wyrosła z samego faktu powstania tego ruchu, ale z jego poczynań.

Niechby sobie narodowcy gadali o Polsce, niechby wydawali swoje pisma i propagowali swoją ideę, ale nie wolno im było występować czynnie. Gdy odezwy enzeterowskie mówiły o bezmyślności bezustannych strajków i robotnik spróbował czynnie się przeciwstawić, to zwrócono przeciwko niemu rewolwer. Gdy odezwy socjalistyczne mówiły: strajk — narodowiec stawał przy maszynie i pracował, skoro odezwa jego partji dowodziła, że strajkiem nie należy zbytnio szafować, lecz używać tej broni tylko w ostateczności i w warunkach mogących przynieść robotnikowi pożytek. Stąd rodzą się wszystkie oszczerstwa, bowiem jeśli rewolucjonista mówi: strajk, a robotnik pracuje, to ten robotnik „stoi na usługach burżuazji, ten robotnik jest sługą kapitalisty". A skoro sługa kapitalisty, to szpicel, a jak szpicel, to wysługuje się ochranie. Wnioski można snuć bez końca aż do absurdu.

Czy daleko stąd do zbrodni jeśli uwzględnimy, że szpiclów się zabijało? Gdy przystąpiono do formalnego wyrzucania narodowców z fabryk, a narodowcy się bronili, to namiętności musiały rozpalać się do czerwoności. Jakto! „Pachołki burżuazyjne", „szpicle"; „sługi fabrykantów i caratu" (dosłownie) śmią się bronić przed zamachem na ich byt ze strony „uświadomionego proletarjusza"? Wszystko to razem biorąc: pełne nienawiści odezwy, atmosfera rewolucji, nadzieje na odebranie fabrykantom ich fabryk i pałaców, wiara w rychły upadek caratu, zaś po stronie narodowej: odporność na hasła międzynarodowe, nieuznawanie walki klas, krytyczne ustosunkowanie się do epidemji strajkowej, fanatyczna miłość ojczyzny — musiało doprowadzić do walk bratobójczych.

Walka, która tu i owdzie wybuchła tylko na jakiemś lokalnem podłożu: czy to różnica zapatrywań na strajk w poszczególnych fabrykach, czy gorące i namiętne spory polityczne, czy wreszcie wskutek obustronnej nieświadomości — zmieniła charakter. Rozpoczęły się skrytobójstwa. Jedna ofiara, druga, trzecia... — wszystko najwpływowsi narodowcy w poszczególnych fabrykach, były jakby piorunami, które elektryzowały i tak już podsyconą ogniem atmosferę i wśród enzeterowców wywoływały nastrój przygnębiający. Nienawiść rodziła się i po drugiej stronie i enzeterowiec zapałał zemstą. Przywódcy N. Z. R. bronili się przed przyłożeniem pieczęci partyjnej pod hasło zemsty. Przecież może nie potrwa to długo — uspokajali robotników, — przecież może tych kilka trupów enzeterowskich skłoni socjalistów do opamiętania. Mylili się. Trupów było coraz więcej.

●

Stefan Rożnowski

Cmentarzysko społeczne — Przy budowie kolei kaliskiej — Wiec u Henneberga — Wprowadzenie języka polskiego na kolei W. W. — Praca organizacyjna w gazowni

Walka o Polskę było w mojej rodzinie, że tak powiem tradycyjna. Nad dziadkiem moim podczas powstania znęcali się Moskale, wuja zarąbali na polu walki. W duchu patrjotycznym też było wychowane moje rodzeństwo. Wszystko to razem nie pozwalało mi od najmłodszych lat pogodzić się z myślą usankcjonowania grabieży, jakiej wrogowie dokonali nad naszym krajem.

Jeszcze w szkołach będąc, uczestniczyłem w zebraniach luźnych kółek oświatowych, mających na celu zahamowanie szerzącej się rusyfikacji, powstrzymywanie wypaczania pojęć naszej młodzieży i dążność do pobudzania uczuć patrjotycznych.

Po ukończeniu szkoły średniej w 1901 otrzymałem pracę w charakterze praktykanta technicznego przy budowie kolei kaliskiej. Skutkiem stykania się z robotnikami podczas pracy i zyskanie ich zaufania, byłem zapraszany na tajne zebrania P. P. S. w Łowiczu. Jednakże wygłaszane tam przemówienia programowe partji nie trafiały mi do duszy, były one jakieś obce, nie przyczyniały się do wytwarzania ciepła koleżeńskiego wśród robociarzy i wszystko, co miało stanowić istotę walki, zdawało się być straszliwie szablonowe, a co najważniejsza, kosmopolityczne. Nie wierzono w samoistną iredentę polską, starając się duchowi buntu polskiego robotnika nadać piętno międzynarodowe.

Skutki tej agitacji nie dawały na siebie długo czekać. Gdy po zebraniach rozmawiałem z towarzyszami robociarzami i zagadywałem ich na temat polskości, byli dziwnie lękliwi, kryjący się ze swemi uczuciami, jakby im wstyd było powiedzieć głośno że są Polakami. „Co nas obchodzi Polska", mówili, „my chcemy dobrobytu", ,,tam ojczyzna gdzie zarobek".

Tak więc polskość u robotników atakowana była z dwu stron — przez Moskali i przez socjalistów. Z jednej strony usiłowania zdeprawowania Polaków, z drugiej dążność do odporności przeciwko etyce narodowej, straszliwe warunki pracy, brak podstawowych zasad higjeny, a przedewszystkiem rozmyślne niedopuszczanie robotnika do oświaty i niewprowadzanie w życie zabezpieczeń socjalnych (ochronnego prawodawstwa robotniczego), przyczyniały się znacznie do ułatwień agi-

tacji międzynarodowej na rzecz doktryn o charakterze kosmopolitycznym. W takich warunkach robotnik zatracał cechy ludzkie, nie dopiero narodowe.

Inteligencja była bierna, przeważnie apolityczna, nieinteresująca się Polską — „tym trupem“, jak się często słyszało, — stała na uboczu wszelkiej jaśniejszej myśli. Mieniła się postępową, przyjaźniła się z biurokratami rosyjskimi — elementem obcym, napływowymi urzędnikami, najgorszymi z „łajdaków“, których wysyłano do „Prywislinja“. Z tymi ludźmi spokrewniano się i uważano to sobie za zaszczyt, przez nich szukając protekcji u władz, a wszystko dla swoich materjalnych znikomych celów. Było to więc, jak widzimy, cuchnące bagno społeczne, na którem w przyszłości miało być posiane ziarno pracy ideowej...



Stefan Rożnowski

Nieliczne jednostki tej inteligencji nie mogły pogodzić się z tym stanem rzeczy i nie wierzyły, ażeby mimo wszystko, naród poszedł na zatracenie. Trzeba było te cmentarzysko społeczne ożywić, wskazać mu jaśniejsze cele przyszłości.

Z jednej strony ugoda, z drugiej międzynarodówka, dla której myśl o Polsce była nawet przeszkodą, bo utrudniała zaszczepianie w społeczeństwo haseł międzynarodowych i postępu. Wszystko co polskie uważane było za wsteczne — nawet przez apostołów nowej wiary postępu. Gdy jedni mówili: „Polski im się zachciewa“, inni: „Czy nie dość było 63 roku?“. „Gubicie kraj“. „Pracować organicznie, pozytywistycznie‘.

Tak więc, nie mogłem spokojnie przebywać wśród inteligentów i chętnie przystawałem z robotnikami, chociaż i tutaj czułem się duchowo obcy, ze względu na podpatrywanie życia pod kątem widzenia międzynarodowego. To też odetchnąłem, gdy roboty zostały ukończone i mogłem się z tego moralnego piekła wyrwać. Jedynym dodatnim typem, jakiego spotkałem przy robotach kolejowych, był Moskal Masłow, bezpośredni mój przełożony, który stanowił dziwny kontrast w stosunku do reszty swych współbraci i daleko odbiegał od niektórych moich rodaków inteligentów. Ostrzegał mnie kiedyś, abym się

miarkował — „naczalnik ujezda“ zainteresował się moją osobą i polecił mieć mnie na uwadze, bo bardzo współżyję z robotnikami.

Pod koniec 1903, na jakiejś masówce, zdaje się w fabryce „Drzewiecki i Jeziorański“ słyszałem mówcę robotnika, który dziwnie nie dostrajał się do panujących w owe czasy nastrojów partyjnych, kiedy mówiono tylko o krzywdzie robotniczej, o wyzysku kapitalistycznym, a nigdy nie słyszało się o niewoli narodowej. Ten mówca dowodził konieczności walki o niepodległą Polskę demokratyczną, którą zdobędziemy tylko własnemi rękoma i którą zdobyć musimy, jeśli nie chcemy się całkiem zatracić. Gdy zakończył swoje przemówienie okrzykiem: „Niech żyje Polska Ludowa!“, odezwało się zaledwie kilkanaście głosów. Zrobiło mi się dziwnie głupio i nieswojo. Tak, to były skutki roboty socjalistów, którzy w tej fabryce byli panami sytuacji.

Po masówce wyszedłem z młodym mówcą na ulicę i poznałem się z nim. Był to Walenty Baranowski. Nie mogłem się powstrzymać od wyrażenia życzenia wzięcia udziału w pracy narodowej wśród robotników. Baranowskiego, którego niebawem poznałem bliżej, cechowała szlachetna, bez cienia zarozumiałości prostota w obcowaniu z ludźmi. Była to wówczas czołowa postać narodowego ruchu robotniczego i sprawy robotniczej, przypominająca dawnych bohaterów straceńców, podziwiałem w wielu wypadkach jego zimną krew i odwagę, samozaparcie dla sprawy której służył, chęć bezwzględnego poświęcenia się bez rozgłosu i próżnej sławy. Pamiętam jak kiedyś, gdy już sam przemawiałem często na wiecach fabrycznych, w fabryce Gerlacha na Woli, po streszczeniu przeze mnie naszych dążeń narodowych, zabrał głos mówca z Socjaldemokracji, towarzysz „Rafał“ i między innemi mówił: „jesteście kontrrewolucjonistami, nie uznajecie solidarności proletarjatu, a tylko przez rewolucję, na drodze zbrojnej walki możemy coś zdobyć“. Ale w tej samej chwili jakiś robotnik poirącił leżącą gdzieś tam w kącie sali płytę stalową, która wydała głośny dźwięk, jakby trzask strzału rewolwerowego. Towarzysz „Rafał“ zeskoczył z trybuny z zamiarem ucieczki i część słuchaczy również się przeraziła szerząc panikę, którą powstrzymał Baranowski. Skoczył na wzniesienie i zaczął: „Towarzyszu, nie uciekajcie, przecież macie iść do rewolucji, a boicie się kawałka blachy?“

Towarzysz „Rafał“ speszył się i coś tam zaczął mówić, ale robotnicy poczęli krzyczeć: „oni mają rację“, „przecież to nieprawda, że oni chcą króla i pańszczyzny, że są pachołkami kapitalistycznymi“. Z ich przemówień to wcale nie wynika“. Gdy później spotykałem się

z towarzyszem „Rafałem" na wiecach, zawsze mu ten wesoły przypadek przypominałem.

* * *

Niebawem poznałem Michała Sadowskiego (Kruka), dzielnego setnika N. Z. R., późniejszego kierownika dzielnicy wolskiej, w której najwięcej pracowałem. Był dobrym organizatorem, dużej pracy człowiekiem. Już dziś dokładnie nie pamiętam jak to było, ale zdaje się, odtworzę wiernie scenę. Kolega „Duch" pogniewał się o jakąś błahostkę na Kruka, który z nakazu partji opuszczał Warszawę, jadąc do Krakowa organizować zamach na szpicla Rybaka. Chciał z powodu tego gniewu odejść od roboty partyjnej. Wówczas Sadowski odezwał się: „Chcesz teraz nas opuścić, gdy Kmicic (mój pseudonim) pracuje za trzech, a ja wyjeżdżam teraz, gdy organizacji grozi upadek spowodu wsyp i aresztowań?" Skonfundowany kolega jakoś dziwnie się zmieszał i odparł: „masz rację, pracy nie porzucę ani teraz, ani nigdy, nie trzeba opuszczać rąk, dopóki nie skują nam je w kajdany, a na usta nie założą obroży". Niestety, po kilku latach „Duch", jak sam mówił, „zmienił przekonania" i przeszedł do socjalistów. O ile zrobił to istotnie z przekonania i tam w innej partji jest dobrym towarzyszem i pracuje, nie mamy do niego żalu.



Michał Sadowski

Wspomnieć też muszę, że, wprawdzie znacznie krócej, ale za to bardzo owocnie pracował w dzielnicy wolskiej, ceniony przez nas kol. „Did", Heinrich, robociarz z 6 kl. wykształceniem, co było naonczas w zaborze rosyjskim fenomenem. Wykształcenie zdobył własną pracą, pomagając przytem biednej rodzinie. Uczył się całemi nocami, w dzień pracował fizycznie, mając jeszcze czas wieczorami wykładać na kółkach partyjnych.

Do organizacji wprowadził mnie Baranowski. Pierwsze zebranie, na którem zostałem przyjęty do N. Z. R. odbyło się przy ul. Chmielnej niedaleko warsztatów kolejowych. Było to mieszkanie robotnicze. Kiedy wszedłem do mieszkania według wskazanego mi przez Baranowskiego adresu, zastałem tam już sporą gromadkę ludzi, rozmawiających o sprawach potocznych. Na stole leżały legalne gazety, nastrój

panował swobodny, jakby kilku przyjaciół zebrało się na zwykłą koleżeńską pogawędkę.

Wtem z kąta izby powstał siedzący dotąd milcząco młody człowiek i zajął miejsce za stołem. Póżniej dowiedziałem się, że był to student politechniki, Przemysław Podgórski, który też zmiejsca rozpoczął przygotowaną zgóry prelekcję o znaczeniu N. Z. R. i jego programie ideowym. Potem odbyła się przysięga nowowstępujących członków.

* * *

Na jednem z zebrań robotniczych Sadowski postanowił urządzić wiec w fabryce Henneberga. W fabryce tej dotąd jeszcze żadnego wiecu N. Z. R. nie urządzał. Decyzja co do wiecu zapadła na zebraniu Komisji Agitacyjnej dzielnicy wolskiej. Wyznaczono na masówkę mówców dzielnicowych, żeby nie uciekać się do pomocy Zarz. Gł., który i tak miał roboty poddostatkiem.

W fabryce tej panami sytuacji byli esdecy i z ich ruchem też większość robotników sympatyzowała. Pepesowców obu frakcyj (było to już po rozłamie) było znacznie mniej Potem szła Chrześcijańska Demokracja, najmniej zaś było enzeterowców.

O mającym się odbyć naszym wiecu w fabryce wiedziano. To tez zaledwie wszedłem w podwórze fabryczne, gdzie czekało na mnie kilku naszych ludzi, powiedzieli mi wprost, że sprawa jest ciężka, bo przyszli jacyś inteligenci socjalistyczni na dyskusję. No, ale było nas przecież dwóch, bo i Sadowski był ze mną, więc sobie jakoś poradzimy.

Gdy wiec się zaczął i pierwszy jął przemawiać Sadowski, zjawił się obok brodaty esdek, którego odrazu poznałem. Był to stary znajomy z innych wieców, towarzysz „Rafał". Proponowaliśmy dla kurtuazji, aby pierwszy przemówił któryś z naszych przeciwników, ale nie zgodzili się, wykazując również kurtuazję: „wyście organizowali, wy macie pierwszeństwo".

Po Sadowskim, który zagaił wiec, zaznaczywszy krótko w jakim celu urządziliśmy masówkę, zabrał głos kol. „Mojżesz", wyjaśniwszy zebranym czem jest N. Z. R. i jakie są jego cele. Potem przemawiał mówca esdecki „Rafał", który dowodził, że Polska, nawet demokratyczna, robotnikowi nie jest wcale potrzebna, lecz ustrój socjalistyczny w całym świecie. Gdybyście nawet i uzyskali kiedyś Polskę — mówił esdek — toby ona bardzo prędko musiała zginąć znowu, gdyż warunki ekonomiczne Europy tak się układają, że zanim ktoś pomyśli o Polsce, obalony będzie kapitalizm i wprowadzony zostanie ustrój so-

cjalistyczny, a wtedy Polska nie będzie już nikomu potrzebna, bo robotnikom będzie dobrze.

Proroctwo socjalisty nie spełniło się, bo Polska jest, a o ustrój socjalistyczny międzynarodówka walczy dziś jeszcze mocniej niż przed 30 laty i do tego ustroju jest dziś bodaj dalej, niż było wówczas.

Po esdeku przemawiał socjalista z Frakcji Rewolucyjnej i okazało się, że jego polskość była więcej międzynarodowa niż polska, bo zgadzał się we wszystkiem z tow. „Rafałem“, chciał tylko, żeby prócz konstytuanty w Petersburgu, zwołać i konstytuantę w Warszawie. Wyraz „Polska“ mówcy frackiemu przez gardło jakoś się nie chciał przecisnąć.

Mnie przypadło potem w udziale zabrać głos. Wszystko co mówiłem, prowadziło do wykazania, że robotnik polski musi przedewszystkiem wywalczyć sobie wolność narodową, a dopiero wtedy będzie mógł walczyć o swe zdobycze socjalne, bo uzależnione są one od wolności i niepodległości narodowej.

Gdy sobie przypomnę ten wiec i wiele innych, kiedy to kończyłem przemówienie wznosząc okrzyk: „Niech żyje niepodległa Polska Ludowa“ i „Proletarjusze polscy łączcie się!“, jakże śmiesznie wyglądają ci, co dziś mówią o konieczności łączenia się polskiego robotnika, jakby to było ich nowem odkryciem (autor zapewne ma na myśli dzisiejsze Z. Z. Z., na którego czele stoją dawni pepesowcy Moraczewski i „Wojtek“ — przyp. red.). Przecież jest to nasze hasło sprzed 30 lat.

Wiec nasz w fabryce Henneberga miał swój skutek, bo niebawem organizacja nasza znacznie się zwiększyła, a robociarze zapowiadali, że jeszcze jeden taki wiec, a esdeków będzie się w fabryce szukało ze świecą.

Gdy po wybuchu wojny i szczęśliwem jej dla Polski ukończeniu spotkałem się przypadkowo na jednem z zebrań publicznych przedwyborczych z tow. „Rafałem“, przypomniałem mu masówkę u Henneberka, odparł: „ja teraz jestem literatem i nic mnie to nie obchodzi“.

* * *

Długoletnia niewola, wpływy ówczesnych organizacyj politycznych, stojących na stanowisku klasowem, ich schlebianie masom na gruncie ekonomicznym, uciekanie się do demagogji, analizowanie działalności przeciwników a unikanie tej analizy w stosunku do samych siebie, stwarzały warunki, w których bardzo trudno było mówić o sprawach narodowych. Tak było w wielu fabrykach, tak było i w masie kolejarskiej, gdzie tkwił przecież pozatem i obcy element, gdzie było

wrogie nam czynownictwo, gdzie było dużo carosławia. Jeśli była mowa o walce, o zdobyczach, to zawsze chodziło tylko o sprawy ekonomiczne, zaś sprawy polityczne łączono z działalnością polityczną partyj rewolucyjnych w całem imperjum.

Dlatego pierwsze początki naszej roboty wśród kolejarzy były bardzo trudne. Mówców enzeterowskich pracownicy warsztatowi w Warszawie nie chcieli do siebie dopuścić. Jeśli nawet czasami udało się nam przemawiać na wiecu u kolejarzy, to pozwalano nam mówić o sprawach ekonomicznych, ale gdyśmy tylko zaczynali mówić o Polsce, wówczas powstawał wrzask i krzyki, protesty i groźby, wszystko pod przewództwem naszych kochanych towarzyszy z S. D. i P. P. S. Dziś napewno niejeden z tych ludzi wstydziłby się, gdyby mu przypomnieć jego ówczesne stanowisko w sprawie Polski, a wielu z nich napewno zdyskontowało swoją ówczesną pracę jako pracę niepodległościową. Jako ówczesny mówca N. Z. R. i agitator, jako jeden z tych, którzy dość często przemawiali na wiecach robotniczych, śmiem twierdzić, że nigdy nie słyszałem u swoich przeciwników socjalistycznych ani słowa o Polsce i o niepodległości. Zawsze była mowa o ustroju socjalistycznym, o walce na gruncie międzynarodowym, o walce z kapitalizmem, o walce z caratem, o nowy ustrój w państwie rosyjskiem. Nigdy, ale to nigdy nie mówiono o powstaniu Narodu Polskiego przeciwko Moskwie, tylko o rewolucji proletarjatu przeciwko carskiemu reżimowi i kapitalizmowi. Kwestja niepodległości dla mówców socjalistycznych nie istniała, była ona nawet w ich robocie socjalistycznej jakby czemś, co przeszkadzało i utrudniało agitację na rzecz międzynarodówki.

Towarzysze Kuć i Ostachiewicz, jako przedstawiciele sfederowanego „Wszechrosyjskiego sojuza sojuzow“ nie chcieli nawet odpowiadać na argumenty przeciwników politycznych, mówiących o sprawach polskich.

W takich to warunkach organizacja nasza przystąpiła do pracy narodowej wśród kolejarzy warszawskich. Najprzód trzeba było urządzić kilka zebrań konspiracyjnych w gronie kilku ludzi, potem kilkunastu, a tu czas naglił, bo z akcją ogólnonarodową nad wprowadzeniem gdzie tylko można języka polskiego, społeczeństwo nie czekało. A o ten język na kolejach bardzo przecież chodziło, głównie zwrócono uwagę na biura kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

Przypominam sobie godny ubolewania fakt, że socjaliści nie dbali wcale o to, w jakim języku będzie prowadzona biurowość na kolei. To było im niepotrzebne do ich roboty socjalistycznej. Oczekiwali załatwienia tego od zapowiadanej oddawna konstytuanty, która te spra-

wy ureguluje. A czynowników rosyjskich przyjeżdżało z Rosji coraz więcej. Szpiclostwo rozwielmożniło się do ostatecznych granic, każdy bał się o swoje stanowisko i albo krył się ze swojemi przekonaniami, albo szpiclował, żeby się przypochlebić, zdobyć zaufanie i lepsze miejsce. Wszędzie słyszało się język rosyjski, którym starali się mówić nawet Polacy.

A ruch narodowy robił swoje i coraz więcej mieliśmy zakonspirowanych kolegów wśród kolejowców. Odezwy o konieczności wprowadzenia języka polskiego w biurowości kolejowej, rozrzucane i kolportowane na kolei, doprowadzały Moskali do wściekłości. Byłem w tym czasie pracownikiem kolejowym w Ekspedycji Towarowej Warszawa Główna i pamiętam jak wreszcie nastąpiło otrzeźwienie i potem, jednego dnia na całym obszarze kolei W. W., mimo całej sfory szpiclów i żandarmów wprowadzono w biurach język polski. Wydarzenie to poprzedziło wiele zebrań, dawanie sobie słowa honoru, że wszyscy zaczną pisaś językiem polskim. Druki były jeszcze rosyjskie, ale treść pism i raportów była już pisana po polsku.

Ludzie chodzili jak oszaleli z radości, a Moskale wiary swym uszom i oczom nie dawali, że jednak stało się to, co było zapowiadane od dłuższego czasu. Niektórzy mieli łzy w oczach z radości, że, chociaż tak mało, ale przecież coś zbliżyło nas do Polski.

Dziś w wolnej Polsce, niech mi wolno będzie wyrazić tu serdeczne słowa podzięki moim kolegom, zwierzchnikom organizacyjnym, Antoniemu Robaczewskiemu i Stopczykowi, którzy, nie biorąc pod uwagę swych ówczesnych stanowisk, jak żołnierze wydawali dyrektywy i nakazy w tak doniosłej chwili. Nie mogę też pominąć milczeniem tych szlachetnych ludzi, którzy chociaż nie byli z nami związani organizacyjnie, jednak pomagali nam dzielnie w naszej akcji, jak Chmielewski, pomocnik ekspedytora, i Stefan Gierowski, kasjer Tow. Eksped. Towarow.

* * *

Jako „inteligent", bo tak nas, mówców, koledzy robociarze nazywali, pracując najwięcej w dzielnicy wolskiej, miałem bardzo wiele roboty. Członków Koła Agitacyjnego, których zadaniem było chodzić na zebrania i wykładać, oraz przemawiać na wiecach, nie było znowu tak wielu. Koło to w dzielnicy wolskiej stanowili prócz mnie, Sadowski, „Oporny" (nazwiska nie pamiętam), Kazimierz Szczeblewski (Judasz), „Mojżesz" (nazwiska nie pamiętam), Heinrich (Did) i kilku innych.

Cóż więc dziwnego, że wobec stałego powstawania nowych kółek

partyjnych, musiałem przemawiać czasami po kilka razy dziennie. Dzielnica była podzielona, dla ułatwienia pracy, na liczne koła dzielące się na fabryki, zawody, jak tramwajarzy, gazowników, garbarzy, nie licząc kół dzielnicowych według potrzeb i warunków lokalnych.

Na jednem z zebrań gazowników, koledzy zwrócili się do mnie z wezwaniem urządzenia wiecu w gazowni, gdyż odbywały się tam częste wiece esdeków i pepesowców, naszych mówców zaś nigdy dotąd nie było.

Socjaliści byli o tyle w lepszem położeniu, że posiadali większe zasoby gotówki i mogli dysponować mówcami zawodowymi, których wysyłano na wiece stale, o każdej porze dnia, podczas gdy nasi ludzie musieli liczyć się ze swoją pracą zawodową i mogli udzielać się robocie partyjnej tylko w wolniejszych chwilach. Sytuacja stała się tem groźniejsza dla nas, gdy studenci, którzy dotychczas pracowali z nami, po bojkocie szkół rosyjskich, przeważnie porozjeżdżali się zagranicę i mówców inteligentów było nam brak. Zresztą i ci studenci pracowali bezinteresownie i płatnych zawodowych mówców nie mieliśmy, jak socjaliści. Przeciwnicy nasi też hasali sobie oszczerstwami i demagogją i naszego stanowiska politycznego nie miał kto bronić. Zwłaszcza odznaczali się w tej robocie esdecy i nasi nieliczni członkowie w gazowni bardzo się czuli z tego powodu moralnie pokrzywdzeni.

Partje socjalistyczne zdawały się mieć w masach robotniczych olbrzymi wpływ. Mówię zdawały się, bo mało zapewne dotąd zwracano uwagi na teror, jaki socjaliści stosowali wobec robotników, zmuszając w wielu wypadkach, pod groźbą wyrzucenia z pracy, do wstępowania w szeregi partyjne. Prześladowania bezpartyjnych za obojętność do haseł międzynarodowych, a tembardziej prześladowania naszych kolegów za odwagę narodowych przekonań, były zjawiskiem codziennem we wszystkich fabrykach. Element robotniczy nam sprzyjający, był o tyle bardziej niebezpieczny dla akcji socjalistycznej, że jeśli któryś z robotników zdecydował się na odkrycie przyłbicy partyjnej i przyznał się do swoich patrjotycznych przekonań, to znaczyło, że była to jednostka silna, nie powodowała się lada podmuchem takiego czy innego wiatru, ale przekonania swoje i wiarę miała w duszy i sercu i taką jednostkę trudniej było przekonać o swojej słuszności. Dlatego tak mało enzeterowców, że możnaby ich na palcach policzyć, poszło sczasem do socjalistów, dlatego też tak łatwo było socjalistom całemi masami przechodzić do N. Z. R.

Robotnicy bardzo prędko przekonywali się po której stronie znajdują prawdziwych i szczerych przyjaciół. Dopóki w jakiejś fabryce rej wodzili socjaliści, cały ogół robotniczy musiał płacić składki na

partję i sympatyzować z partją, bo w przeciwnym razie cierpiał prześladowania, gdy jednak wpływ socjalistyczny malał i górę brali enzeterowcy, nigdy się do takich metod rozszerzania swoich wpływów nie uciekali. Owszem, przekonywali o swojej racji, uczyli, dowodzili, ale na partję zbierać pieniądze — płacili tylko członkowie podatek partyjny, innych do płacenia nietylko nie zmuszano, ale wprost niktby z enzeterowców o tem nie pomyślał. Nie nasz człowiek, nie powinien wiedzieć co się u nas dzieje. Robotnicy rychło tę różnicę spostrzegali i to także socjalistom wiele w opinji robotniczej zaszkodziło. Dziwnie te metody kolidowały z głoszonymi przez socjalistów hasłami wolnościowemi. Wolność — dla swoich, dla innych — teror.

Taki stan rzeczy panował i w gazowni, gdy razu pewnego wybraliśmy się w kilku na wiec, zresztą zapowiedziany przez esdeków. Dano nam tylko o tem znać. Poszło nas kilku z Sadowskim, Kazimierzem Szczeblewskim, Dobrowolskim, „Łysym" i kilku innymi. Socjaliści wiedzieli o naszem przybyciu i po przemówieniu esdeka i pepesowca, nie pozwolono żadnemu z nas zabrać głosu. Zerwali masówkę, bo udzielenie nam głosu mogłoby im zaszkodzić. Postępowanie było conajmniej dziwne (tak zresztą postępowali wszędzie), boć przecież byli to „uświadomieni" towarzysze i nie potrzebowali się obawiać „pachołków burżuazyjnych" i „sługusów kapitalistycznych". A przecież się bali.

Socjaliści dobyli rewolwerów i rozkazali nam wynieść się z gazowni. Do dziś dnia nie mogę pojąć, że jednak nie doszło do rozlewu krwi. Stało się to zapewne dlatego, że zachowaliśmy zimną krew i nie daliśmy się sprowokować, boć przecież każdy z nas miał także broń przy sobie. Nie zdradziliśmy się jednak z tem i to zażegnało burzę.

Ano cóż, trudno, nie dziś to jutro, ale przecież kiedyś będziemy w gazowni przemawiali. Pracowaliśmy usilnie i było nas tam coraz więcej.

Wypada mi tutaj podać dla charakterystyki stosunków, zachowanie się Chrześcijańskiej Demokracji, bo jedna ta organizacja była jakoś przez socjalistów tolerowana. Należeli do niej robotnicy najmniej oczytani i analfabeci — widocznie i dla socjalistów element ten nie przedstawiał wartości. Chadecy też w stosunku do socjalistów zachowywali się wzorowo, nigdy się w niczem nie sprzeciwiali, czynnej akcji żadnej w obrębie fabryki nie prowadzili, jednem słowem byli to potulni barankowie — „Panu Bogu świeczkę i djabłu ogarek".

Ale razu pewnego z gazowni usunięto z pracy robotnika. Uczynili to esdecy. Postanowili nauczyć śmiałka, który im się przeciwstawił, rozumu. Powiedział wręcz, że jest przekonań narodowych, należy do

N. Z. R. i rozkazów socjalistycznych spełniać nie będzie. Chodziło zdaje się o danie jakiejś składki.

Wydalony z partji robociarz zwrócił się do partji o pomoc. Udaliśmy się w kilku poraz drugi do gazowni. Byłem ja, Sadowski i Szczeblewski (Judasz) i kilku innych. Między nami i esdekami wywiązała się ostra wymiana słów. Kolega „Łysy" sięgnął po rewolwer i oddając go esdekowi, powiedział: „macie spluwę, plućcie mu w łeb, jeśli tak trzeba, ale nie pozbawiajcie go pracy". Esdek się speszył i zmiękł. Gest „Łysego" tak esdeka zaskoczył, że nie wiedział co odpowiedzieć. No i wkońcu dał się przekonać, że za przekonania nikogo nie wolno pozbawiać pracy i chleba. Wydalony robociarz pozostał w pracy. Nie wiem, czy odezwało się w esdeku sumienie, czy też przeraził się, bo jednak było nas kilku, a esdek, przywódca gazowni, był wśród nas sam. Coprawda zapowiedzieliśmy, że dosyć już prześladowań z ich strony i potrafimy obronić siebie i naszych kolegów. Może i to poskutkowało.

W kilka miesięcy potem sytuacja zmieniła się o tyle, że urządzaliśmy w gazowni nasze zebrania jawnie — wobec ogółu robotniczego, tak jak i socjaliści. Nie urządziliśmy jednak wiecu ogólnego i na wiece socjalistyczne nie chodziliśmy. Organizacja mimo to w gazowni rosła na siłach i coraz to powiększały się nasze szeregi. Doszło wreszcie do tego, że esdecy sami zaprosili nas na publiczną dyskusję. Ponieważ nie dowierzaliśmy im, byli bowiem podstępni, poszliśmy z kilkoma ludźmi uzbrojonymi, żeby się móc w razie potrzeby obronić.

Na masówce, jak zwykle, dopóki przemawiali socjaliści, było spokojnie. Gdy jednak przyszła kolej na nas i na mównicy ukazał się Kazimierz Szczeblewski (po nim miałem przemawiać ja), wówczas... (nie posądzam socjalistów o prowokację, stwierdzam tylko fakt) zrobił się popłoch i towarzysze zaczęli krzyczeć, że gazownia otoczona jest wojskiem i szpiclami. Nie czas było zastanawiać się, dlaczego socjaliści tak bezmyślnie i bez osłony urządzili masówkę, narażając ludzi na aresztowania.

Dzięki przytomności umysłu kilku naszych ludzi z gazowni, którzy doskonale przecież znali teren, uniknęliśmy aresztowania. Koledzy nasi, głównie Kosieradzki, przeprowadził nas przez jakieś zakamarki gazowni do parkanu oddzielającego teren gazowni od plantu kolejowego i przedostaliśmy się przez parkan nazewnątrz. Padło za nami kilka salw karabinowych, ale byliśmy już za parkanem, na terenie kolei.

Grupa działaczów N. Z. R. dzielnicy Zielonej w Łodzi

(Do artykułu M. Brzezińskiego „Dzielnica Zielona w Łodzi" Nr. 1 „Kilińskiego")



Siedzą od prawej: Wł. Pierzchalski, M. Brzeziński, A. Hilczer, F. Kowalski, F. Pawełczyk. Stoją: S. Brzozowski, J. Zubert, I. Jędraszczyk, S. Wojtczak, S. Kaniecki

Ignacy Jędraszczyk

Z DZIELNICY BAŁUCKIEJ W ŁODZI

Nie wiem, czy będę umiał dostatecznie opisać swoją pracę w Narodowym Związku Robotniczym, ale skoro szanowni koledzy z Zarządu Stow. Kilińczyków i Enzeterowców zwracają się do wszystkich b. enzeterowców z apelem, by pisali o swej przeszłości enzeterowskiej, spróbuję się wywiązać z zadania tak, jak będę uważał najlepiej. Rozumiem, i każdy dawny nasz kolega tak samo chyba pojmuje, że jeśli sami nie będziemy przekazywać potomności dziejów naszej organizacji, nikt za nas tego nie zrobi. Rozumiem także tych naszych b. przywódców i działaczów, którzy stronią dzisiaj od nas i niekiedy niezręcznie im przyznawać się do takiej czy innej orjentacji politycznej z okresu niewoli, bo niejednemu z nich zaszkodziłoby to może w jego karjerze, ale wiem także, że my robociarze jesteśmy mniej ostrożni, przytem nam o nasze karjery nie chodzi, bośmy ich nie zrobili.

Jestem dzieckiem robotników rolnych. Mój dziadek jeszcze był małorolnym rolnikiem, ale ojciec i matka już pracowali na roli cudzej. Potem ojciec mój pracował w gorzelni, w charakterze palacza kotłowego w Bronowie powiatu łęczyckiego. Pamiętam gdy ojciec mój dostał tę pracę — i mieszkanie przy gorzelni, małą izbę, w której ścianach były szpary, przez które oglądało się świat boży. Nie były to takie sobie nic nieznaczące szpary, skoro mogłem przez nie wciągać do izby leżące za ścianą gałęzie, przeznaczone na opał.

Po przemieszkaniu i przepracowaniu jednego sezonu w gorzelni, ojciec postanowił wyemigrować do Brazylji. Było to w 1890, w okresie masowej emigracji za Ocean robotników i chłopów z Polski. Do emigracji jednak nie doszło. Stało się to na skutek kazania w kościele, wygłoszonego przez proboszcza w Uniejowie. Opowiadał o Brazylji takie okropności, że matka przeraziła się i stanowczo odmówiła wyjazdu za morze. A ojciec sam przecież emigrować nie chciał, musiałby bowiem rodzeństwo swoje zostawić na łasce losu.

Cóż to były za okropności? Ano że w Brazylji węże urządzają sobie legowiska w ludzkich łóżkach, że muchy żywcem zjadają ludzi i wiele innych tym podobnych strasznych rzeczy, że naprawdę strach było jechać. Nie wiem, dlaczego ksiądz te okropności mówił i komu ta polityka była potrzebna.

Ale robota się skończyła i trzeba było szukać jej gdzieindziej. Jak z jednej strony do Brazylji, tak znowu z drugiej strony emigrowali bezrolni z całej prawie Polski do Łodzi, gdzie można było dostać robotę w fabryce. Łódź miała wówczas smutną sławę miasta nożowników i złodziejów, co, prawdę rzec, nie było wcale przesadą, zwłaszcza, jeśli chodzi o nożownictwo. Nie było niedzieli, żeby gdzieś kogoś nie pokrajali nożami, co zawsze działo się pod wpływem nadużyć alkoholowych.

Ojciec zrazu nie mógł znaleźć roboty i długo jej szukał. Gdy ją

wreszcie znalazł, zarabiał tak mało, iż z trudnością starczało na nędzne utrzymanie rodziny składającej się z pięciorga osób. Pamiętam jak ojciec narzekał, iż dlatego jest tak upośledzony w zarobkach, że nie zna niemieckiego języka, co utrudnia mu otrzymanie pracy palacza, a palacze zarabiali lepiej, aniżeli zwykły niewykwalifikowany robotnik. Miałem wówczas dopiero lat 7, a już tak byłem zniechęcony do życia spowodu stałego głodowania, że przemyśliwałem o samobójstwie, tylko nie miałem ku temu odwagi.

Kiedyś jednak znalazłem w polu rozbitą butelkę i pokaleczyłem sobie nogi szkłem, potem położyłem się na ziemi i czekałem aż wszystka krew ze mnie wycieknie. Ale znalazła mnie jedna z sąsiadek i zaniosła do domu, gdzie prawie wszyscy byli chorzy — z głodu. Ojciec tylko nie chorował, ale rzadko go widywałem — tyle co w niedzielę. Wychodził do pracy rano przed 5-tą, gdyśmy wszyscy jeszcze spali i wracał wieczorem koło 9-ej, gdyśmy już spali. Zarabiał 3 ruble tygodniowo. Gdy w czwartek otrzymał tygodniówkę, wstępował po drodze z fabryki do piekarza Brauera przy ul. Aleksandrowskiej i kupował czerstwy chleb na cały tydzień. Dlatego czerstwy, że kosztował taniej — 50 kopiejek 10-funtowy bochenek (funt rosyjski). Kupił takie trzy bochenki, które musiały starczyć na cały tydzień dla wszystkich. Chleb świeży kosztował o grosz drożej na funcie.

Bieda w tym roku — 1892 — musiała być ogólna, bo sprzedawano wówczas kaszę z kukurydzy, której przedtem w Łodzi nie znano. Ponieważ jednak naszym sąsiadom Niemcom powodziło się lepiej — byli tkaczami — więc sądziłem w swej naiwności dziecięcej, że to oni są temu winni. Inaczej rzecz sądząc, tak może i było, ale patrzyłem wówczas na te sprawy zbyt prosto i dziecinnie.

W roku tym wybuchł w Łodzi t. zw. „bunt". Widziałem tłumy ludzi na ulicach, przemarsze wojsk — z bębnieniem i nawet strzelaniną.

Po jakimś czasie trochę się nam poprawiło. Ojciec pracował mniej godzin. Zatrudniony był w fabryce Poznańskiego jako robotnik ślusarski i zarabiał 4 ruble 20 kopiejek tygodniowo, miał przytem często pracę nadetatową wieczorami i wówczas zarobek jego przekraczał 5 rubli. Ponieważ przy fabryce Poznańskiego była szkoła dla dzieci robotników, więc ojciec oddał mnie i mojego brata do szkoły. Szkoła mieściła się przy ul. Ogrodowej 26.

Gdy przyszedłem do szkoły, umiałem już czytać i pisać, i trochę rachować, ale wszystko to na nic się nie zdało, bo nie znałem rosyjskiego języka i musiałem się wszystkiego uczyć od początku.

Dopóki byłem w oddziale wstępnym i pierwszym, zdawało mi się, że tak być musi, gdyż uczył mnie Moskal Rubcew i Niemiec Klein. Ale potem stało się coś, co wbiło mi mocnego klina do głowy. Zostawiło to w moim umyśle niezatarte wrażenie, mimo, że od tej pory minęło 40 lat.

Łódź przeżywała wówczas nielada emocję: odwiedził ją książę Imeretyński, na którego cześć rozkazano dzieciom krzyczeć „ura!" Potem ustąpił gdzieś tam jakiś Apuchtin i nauczyciel Klein wszedł do klasy, a zwracając się do jednego z uczniów, zapytał: — „Ty znajesz molitwu po polski?". Gdy uczeń odparł twierdząco, Klein rzekł: „Tak czitaj jejo". Chłopiec odmówił Ojcze nasz i od tej pory zawsze mo-

dlitwę odmawialiśmy po polsku: została nawet wprowadzona nauka polskiego jedną godzinę tygodniowo, wykład jednak odbywał się w języku rosyjskim.

W oddziale II uczył Niemiec Stein, zacietrzewiony hakatysta i sadysta, który z lubością pastwił się nad dziećmi i bił, starając się tak bić, żeby śladów nie zostawiać, a sprawić jaknajwiększy ból. Bił czworokątną linijką po brzuszczach palców, po dłoni, lub stosował kułaki w tył głowy. Niekiedy zamiast linijki używał grubego pasa od maszyny do szycia. Był milczący i mściwy. Drugi nauczyciel, Moskal Pietrow, bił także, był jednak nie tak wyrafinowany jak Niemiec i bił gdzie popadło, najczęściej po twarzy i głowie. Używał również do bicia linijki, ale gdy mu kiedyś któryś z uczniów schował linijkę, wpadł w pasję, oderwał od katedry deskę i tą deską skatował podejrzanego o schowanie linijki ucznia. Rodzice chłopca skarżyli się u władzy przełożonej, ale nic nie wskórali. Umiał także lżyć dzieci, a w wyrażeniach nie był wybredny. Takie wyrażenia, jak: skatina, polskaja morda, miatieżnoje plemia, mierzawiec, należały do najłagodniejszych przekleństw Pietrowa. To też obaj ci nauczyciele byli przez uczniów znienawidzeni.



Ignacy Jędraszczyk

Szkoły tej nie ukończyłem, co zresztą było powszechnem zjawiskiem. Jeśli któreś z dzieci robotniczych miało szczęście dostać się do szkoły, prawie nigdy jej nie ukończyło, bowiem gdy miało już 12 lat, rodzice zabierali je ze szkoły i posyłali do fabryki. Dwunastoletnie dzieci mogły już być zatrudnione na pół dnia. Tak było i ze mną. Mając lat 12, poszedłem do fabryki. Zrazu pracowałem jako goniec w pralni, zarabiając 3 ruble miesięcznie i utrzymanie. Mając lat 15, otrzymałem pracę w fabryce Poznańskiego. Było to w 1900.

Razu pewnego widziałem jak robotnik z bielnika rozrzucił po podwórzu fabrycznem kilka proklamacyj. Domyśliłem się, że było to coś nielegalnego, bo robotnik rozglądał się, czy go kto nie widział. Gdy ów robotnik odszedł, chciałem jedną z tych odezw podnieść i ukryć, by gdzieś w kącie przeczytać, ale w tej samej chwili zjawił się komendant fabrycznej straży ogniowej Hober z dwoma strażakami, z których jeden — pamiętam to dobrze — nazywał się Szmidt. Strażacy spostrzegli rozrzucone proklamacje i poczęli je zbierać. Oczywiście nie miałem już odwagi podnieść żadnej z nich, zresztą byliby mi ją i tak zabrali. Hober spytał mnie, czy nie widziałem, kto rozrzucił proklamacje, ale odparłem, że nie wiem.

Wypadek ten wywarł na mnie duże wrażenie. Ucieszyłem się wiel-

ce, że jednak jest ktoś, kto myśli o buncie. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z tej roboty i nie zastanawiałem się, co to była za robota, cieszył mnie sam fakt istnienia ludzi, pracujących nad uświadomieniem robotnika. Później dowiedziałem się, że były to odezwy, wydane przez jakąś nieznaną mi wówczas organizację, na pamiątkę Konstytucji 3 maja.

W 1903 na skutek bardzo niskich płac porzuciła pracę tkalnia. Strajk ten spowodował usunięcie z fabryki majstrów Niemców: Winklera, Wajsbacha, Schreitera i czwartego, którego nazwiska sobie nie przypominam. Na ich miejsce przyszli inni, wśród których byli dwaj Polacy. Strajk ten materjalnych korzyści robotnikom nie przyniósł, miał jednak ten skutek, że Niemcy stracili na minach, zaś żywioł polski trochę jakby odżył, poruszył się. Samopoczucie narodowe robotnika było jeszcze lepsze, gdy poczęły napływać wieści o klęskach rosyjskich w wojnie japońskiej.

Z początkiem 1905 po masakrze haponowskiej w Petersburgu, w fabryce poczęły ukazywać się, prawie jednocześnie, odezwy pepesowskie i esdeckie. Należałem już wówczas do Towarzystwa Oświaty Narodowej. Socjalistów nie miałem możności dotychczas poznać, choć o nich słyszałem. Pierwszy raz zobaczyłem na własne oczy przemawiającego socjalistę na wiecu fabrycznym. Mówił w imieniu Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy.

Wystąpienie jego nie zbudowało mnie, przeciwnie, poczułem doń odrazę. Mówił, że szlachta polska chce Polski, a to jest wymysł burżuazji, że robotnik nie ma ojczyzny i nie jest mu ona potrzebna. Rozglądając się po słuchaczach dostrzegłem, że jednak mówca miał wśród nich swoich zwolenników. Uderzyło mnie tylko, że byli to przeważnie Niemcy.

W tłumie robotników stał dyrektor tkalni Robowski, który w chwili, gdy esdek skończył przemówienie i chciał wznieść jakiś okrzyk — krzyknął: „Niech żyje Polska!". Okrzyk ten podchwyciło wielu robotników, co mówcę trochę zdetonowało.

Odtąd spostrzegłem, że esdecy zaczynają coraz więcej interesować się narodowcami i przeciw nim występować, chociaż narodowcy jawnie jeszcze nie występowali. Ot, tam gdzieś, czasami, jakiś odważniejszy robociarz dysputował z esdekami, dowodząc swej narodowej racji.

W fabryce dysputowano teraz stale. Walki słowne toczyły się nietylko na tle politycznem, ale zjawili się marjawici i powstały spory religijne. I oto co się dzieje. Esdecy, którzy dotychczas występowali jako ludzie bezwyznaniowi, bezbożni, brali w obronę marjawitów, występując przeciwko narodowcom, broniącym stanowiska kościoła katolickiego. Jeszcze dziwniejsze, że wielu esdeków — robotników polskich, nie Niemców — okazało się marjawitami. Tego już nie mogłem zrozumieć i nie mogli tego także zrozumieć inni moi koledzy. Przypuszczam, że tajemnica tego leżała w tem, iż marjawici godzili w kościół katolicki, co było im na rękę jako socjalistom, którzy także z kościołem toczyli walkę.

Aby nie być gołosłownym, przytoczę znane nazwiska esdeków ów-

czesnych czasów w fabryce Poznańskiego, jak Krauze, Orłowscy, którzy księdza Marksa — marjawitę — pod niebiosy wychwalali.

Ale oto dotarły do nas wiadomości o zamordowaniu w Warszawie Karola Piotrowskiego, członka Narodowego Związku Robotniczego. Potem zastrzelono w Łodzi Jana Bezyngiera, mego kolegę, z którym razem pracowałem.

Nadeszły dni wyrzucania przez socjalistów z fabryk narodowców. Z fabryki Kellera wyrzucono kilkunastu robotników, wśród których była Marja Michalska, zam. przy ul. Wrzesińskiej 30-b m. 7, siostry Gajewskie i inne. W odwet enzeterowcy zastosowali taką samą metodę w tych fabrykach, gdzie czuli się mocniejsi, między innemi w fabryce Birnbauma przy ul. Mikołajewskiej 5.

W fabryce tej wyznaczona została konferencja międzypartyjna między N. Z. R. a Socjaldemokracją, ale zamiast przysłać swoich przedstawicieli dla omówienia zatargu, przysłali bojówkę, która miała przepędzić enzeterowców z fabryki. Lecz i enzeterowcy byli ostrożni i przygotowali się do odparcia ataku. Wywiązała się walka, w której esdecy odnieśli porażkę, mimo przeszło setki strzałów rewolwerowych, danych w podwórze fabryczne z ulicy.

Wyrzucanie z fabryk enzeterowców stosowali nietylko esdecy, lecz i pepesowcy, co doświadczyłem na sobie w fabryce Pawła Szulca przy ul. Zawadzkiej 16, gdzie po wyjściu z fabryki Poznańskiego pracowałem w 1907. Za pracę narodową wśród robotników zostałem przez socjalistów obu partyj z roboty usunięty. Sprawy te jwprawdzie socjaliści nie wygrali, bowiem pod groźbą usunięcia ich towarzyszy z sąsiedniej fabryki, byli zmuszeni zgodzić się na przyjęcie do pracy enzeterowca, którym był kol. Franciszek Pawełczyk, jednak ja musiałem ustąpić.

Wspomniałem wyżej o moim koledze Janie Bezyngierze, którego esdecy zamordowali. Niech mi będzie wolno powiedzieć kilka słów o nim i o jego męczeńskiej śmierci.

Zbrodni tej dokonali socjaliści dnia 4 stycznia 1906. Była to pierwsza ofiara walk bratobójczych w Łodzi.

Ażeby w chronologicznym porządku dojść do faktu zbrodni, wypada mi w kilku słowach streścić, w jaki sposób dostałem się do N.Z.R. i jak poznałem Bezyngiera. Do organizacji wprowadził mnie Antoni Pięgot, zam przy ul. Nowaka 18 przy współudziale Ludwika Andrzejczaka (Nowaka 14), który potem wyemigrował do Brazylji i do kraju nie wrócił. Przysięgę odebrał odemnie Ignacy Stęborowski, cieśla z fabryki Poznańskiego w mieszkaniu Wojtczaka przy ul. Brzezińskiej. Pracowałem wówczas jako tkacz u Poznańskiego. Pierwszym moim dziesiętnikiem był Pięgot, jako referentów pierwszych ujrzałem na zebraniach Stęborowskiego i Jana Michalaka, który był kierownikiem dzielnicy. Jednym z energiczniejszych działaczów w mojej dziesiątce był Stanisław Dobraszczyk, którego nazwiska jeszcze wówczas nie znałem.

W ciągu blisko roku byłem zwykłym członkiem partji, ale w końcu 1905 zostałem dziesiętnikiem. Do dziesiątki mojej należeli: brat mój Wawrzyniec, Ryszard Olczyk, Szcześniak, Droździewscy (ojciec i syn),

Jan Bezyngier i inni. Przedstawicielem partji w tkalni był Tomasz Marciniak, w przędzalni Jan Michalak, warsztatów rzemieślniczych Stęborowski. W początkach 1906 dziesiątkę swoją przekazałem komu innemu, gdyż powołano mnie do pracy w związku zawodowym „Jedność" i byłem tak zaabsorbowany pracą związkową, że chwilowo nie miałem czasu na pracę partyjną. Tymczasowe biuro związku „Jedność" na dzielnicę północną miasta znajdowało się w mieszkaniu Marciniaka przy ul. Ciemnej. Prowadziłem książkowość w związku i miałem z tem dużo do roboty, bowiem każdą 20 kopiejkową składkę trzeba było wypisać w osobnym kwitarjuszu ,a członków było dużo i wciąż ich przybywało.

Jan Bezyngier był w fabryce moim najbliższym sąsiadem. Krosna nasze dzieliło tylko wąskie przejście. Pracowaliśmy w nowej tkalni na oddziale majstra Wolczyńskiego. Rodzina Bezyngiera pracowała w tej samej fabryce. Mieszkał przy ul. Sztarka 5. Był gorliwym propagatorem idei narodowej i niepodległościowej wśród robotników i dlatego znienawidzony przez socjalistów, którzy z Polski i Orła Białego kpili. Kiedy wstąpił do N. Z. R. nie wiem, bowiem przekazano mi go jako członka do mojej dziesiątki z innej grupy i wtedy dopiero go poznałem.

Najzaciętszym przeciwnikiem Bezyngiera w polemikach przy robocie w fabryce był esdek Ignacy Orłowski. Zatrudniony był w tym samym oddziale tkackim, w którym pracowałem z Bezyngierem. Orłowski całemi prawie dniami kręcił się między krosnami i agitował na rzecz swej partji, starając się jaknajwięcej zjednać sobie zwolenników. To doprowadzało do dyskusji i starć słownych. Gdy sobie przypominam tę chwilę, przychodzę do wniosku, że występowanie socjalistów przeciwko Polsce bardzo im utrudniało agitację i gdyby wobec Polski zajęli od początku inne stanowisko, N. Z. R. miałby robotę mniej łatwą. W agitacji tej pomagali mu Kołduński, Konstanty Krauze, Pyda, Wiśniewski i inni. Bezyngier bronił Polski, Krauze i Orłowski Polskę atakowali. Walki dyskusyjne trwały około dwóch tygodni.

Dnia 4 stycznia dyskusja była wyjątkowo gwałtowna, przeciwnicy doskakiwali sobie z pięściami do oczu. Powodem tych gwałtownych sporów była wiadomość o zamordowaniu w Warszawie przez Socjalistów jednego z narodowców, Piotrowskiego. Bezyngier wyrzucał esdekom zbrodnię, ani przypuszczając, że tego dnia sam padnie z ich rąk. Orłowski mówił, że musi Bezyngiera przekonać o swej słuszności i prawie nie odchodził odeń, nie myśląc o krosnach. Była sobota i praca, jak zwykle w tym dniu, kończyła się wcześniej, t. j. o godz. 5-tej.

Następnego dnia, w niedzielę, przybiegł do mnie Ryszard Olczyk, zawiadamiając, że Konstanty Krauze i Orłowscy zabili Bezyngiera. Zbrodni dokonano wieczorem obok bloków domów mieszkalnych fabryki Poznańskiego. Jak się później dowiedziałem, Orłowski, po wyjściu z fabryki, wciąż jeszcze przekonywał Bezyngiera, i nie znajdując dość mocnych argumentów, uciekł się do argumentów kuli. Zabójcy uciekli, chociaż wszystkim nam było wiadomo kim byli.

Zwłoki przeniesiono do mieszkania Bezingierów na ulicę Sztar-

ka 5. Poszedłem tam z Olczykiem i znaleźliśmy naszego kolegę podziurawionego kulami, głowa była przestrzelona trzema kulami.

Czwartego dnia odbyła się sekcja. Jeszcze dwie kule wyjąto z ciała Bezingiera. Po południu odbył się pogrzeb, w którym uczestniczyło kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

Gdy kondukt pogrzebowy, przechodząc przez Ogrodową, mijał posesje Nr. 26 i 28, na wysokim drewnianym płocie siedziało kilkudziesięciu socjalistów i lżyli zamordowanego, wołając: chuligana chowają, psa, szpicla, bałwochwalcę białej gęsi i t. p. Tak samo rzucali obelżywemi epitetami w stronę uczestników pogrzebu. Widziałem tych najbardziej krzykliwych i nie liczących się z żadnem słowem socjalistów: Pydę, pseud. „Wojtek", Kołduńskiego, siostrę Orłowskich i wielu innych.

Jeżeli dnia tego nie doszło do rozlewu krwi, to jedynie dzięki Janowi Michalakowi, kierownikowi dzielnicy bałuckiej, który cieszył się u robotników wielkim szacunkiem. Michalak przeczuwał, że na pogrzebie mogą wyniknąć zajścia i przed pogrzebem od wszystkich uczestników pogrzebu odebrał zbiorową przysięgę, że zachowają zimną krew i nie dadzą się sprowokować. Błagał nas, abyśmy zbrodnię tę puścili płazem — dla dobra Polski, bo zemsta teraz z naszej strony najbardziej ucieszyłaby Moskali, wspólnych naszych wrogów, a dosięgłaby jedynie kilku głupców, którzy kiedyś opamiętają się. W rok potem ten sam Michalak został tak samo zamordowany przez socjalistów. Jednym z zabójców był Ławniczak.

Co się w fabryce działo tego dnia, nie wiem, bowiem wszyscy enzeterowcy, a więc i ja, nie pracowaliśmy. Poszliśmy na pogrzeb.

Następnego dnia, kiedy stanąłem przy swoich krosnach, ujrzałem widowisko, którego nie zapomnę do końca życia. Zabójcę Bezyngiera, Ignacego Orłowskiego przyprowadziło do jego krosien czterech bojowców, tem dziwniejsze, że Ignacy Orłowski był po zamordowaniu Bezinkrosien i pilnowali go, jakby mu zewszech stron groziło niebezpieczeństwo. Chodzili za nim w fabryce krok w krok, wyprowadzali z fabryki do domu i przyprowadzali do fabryki. Było to dla nas, enzeterowców, tem dziwniejsze, że gnacy Orłowski był po zamordowaniu Bezingera aresztowany przez ochranę, a w dzień pogrzebu swej ofiary zwolniony. Przebył zatem w areszcie zaledwie cztery dni. Tajemnice tak rychłego zwolnienia oskarżonego o zabójstwo przeciwnika politycznego esdeka nie są mi znane do dziś dnia.

Przybywanie do roboty w fabryce Orłowskiego pod ochroną uzbrojonych towarzyszy partyjnych trwało około dwu tygodni. Widząc jednak, że nie zamierzamy się mścić, Orłowski przychodził potem do pracy bez eskorty partyjnej, pilnował się jednak jeszcze przez czas dłuższy, chociaż nic mu z naszej strony nie groziło.

Prowokacyjne zachowywanie się wobec nas esdeków i morderstwo Bezingera miało taki skutek, że robotnicy poczęli przystępować do N. Z. R. i do związku zawodowego „Jedność" masowo.

Walki bratobójcze rozgorzały dopiero, gdy zabójstwom enzeterowców nie było końca. Do największego napięcia doszły przy końcu 1906 i trwały do połowy 1907. W styczniu 1907 socjaliści zamordowali Ja-

na Michalaka, kierownika naszej dzielnicy, oraz członków komitetu lokautowego Kowalczyka i Laskowskiego. Zaciekłość socjalistyczna w tych walkach dochodziła do takiego stopnia, że mordowali nietylko naszych kolegów partyjnych, ale i naszych sympatyków, a także Bogu ducha winnych pracowników kooperatyw robotniczych, którzy zawinili tylko tem, że pracowali w instytucji zorganizowanej przez N. Z. R. Do takich należeli Cieślak i jego pomocnik w sklepie 17-letni Kubis. Dwaj ci ludzie, jak również i ojciec Kubisa nigdy do N. Z. R. nie należeli.

Przy końcu 1907 walki bratobójcze ustały, partje pogodziły się. Ale oto w tym czasie dowiedzieliśmy się rzeczy okropnych. Oto Kołduński, Pyda, Ignacy Grobelny, Cieplucha, bracia Fremlowie i kilku innych zagorzałych socjalistów i śmiertelnych wrogów naszych, okazało się szpiclami i zdradzali już zupełnie jawnie. Stali na usługach ochrany całkiem otwarcie. Jeden z Fremlów potem został nawet katem i wieszał swych dawnych towarzyszy partyjnych.

Ale wracam do mojej działalności w N. Z .R. Dnia 3 maja 1905 urządziliśmy wieczorem na majowem nabożeństwie w kościele N. M. P. na Starem Mieście manifastację patrjotyczną, śpiewając pieśń „Boże coś Polskę". Ksiądz, odprawiający nabożeństwo majowe jak mógł przeszkadzał, śpiewając z garstką tercjarek pieśń inną, aleśmy go zagłuszyli.

W pierwszych miesiącach 1906 zorganizowano w dzielnicy bałuckiej kursy agitatorskie, które prowadził dr. Leon Tochterman, kolorysta z fabryki Geyera. Na kursy te uczęszczało 20 do 30 młodych robotników, których po każdym wykładzie dr. Tochterman egzaminował. Wykład taki łącznie zegzaminami trwał nieraz do trzech godzin. Młodzi kursiści obowiązani byli potem przemawiać na zebraniach robotniczych na tematy omawiane na kursach. Tematy były różne: historyczne, polityczne i historyczne z zakresu rewolucyj i powstań różnych narodów. Na kursy te uczęszczali prócz mnie: Ignacy Stępień z synem, Tomasz Marciniak, Ryszard Olczyk, Mikołajczyk z ul. Aleksandrowskiej, Józef Patora i wielu innych, których nazwisk pozapominałem.

W jesieni t. r. zdarzył mi się następujący wypadek: miałem dostarczyć bibułę do cegielni Maurera przy ul. Aleksandrowskiej. W tym celu udałem się do kol. Szczepana Sałaty, który wręczył mi paczkę i udałem się w drogę. Na Aleksandrowskiej róg Piwnej spotkałem się z patrolem wojskowym, który zatrzymał mnie, polecając podnieść ręce do góry. Gdy spełniłem rozkaz, żołnierze przeszukali mi kieszenie i nie znalazłszy nic podejrzanego, puścili wolno nie pytając co niosę w paczce. Mieli widocznie rozkaz poszukiwania broni i nie przyszło im na myśl, aby mogła być przenoszona inaczej jak w kieszeni.

Po tym wypadku jednak bibułę transportowano ostrożniej. Zazwyczaj ktoś „czysty" szedł przodem, a dopiero o kilkanaście kroków za nim niesiono bibułę, aby wrazie ukazania się patrolu, kolega idący pierwszy, dał znać o grożącem niebezpieczeństwie. Wówczas niosący bibułę na czas przejścia patrolu krył się w bramie jakiegokolwiek domu.

Po słynnym lokaucie łódzkim w 1907 zacząłem pracować w fabry-

ce Bechtolda przy ul. Piotrkowskiej 218. Organizacja N. Z. R. w fabryce tej postawiona była na dość wysokim poziomie. Spośród bardziej czynnych enzeterowców przypominam sobie z tej fabryki Piotra Nowaka, Władysława Cynamona, Grandomskiego, siostry Tarkówny, Domżałównę, Broniarską, Józefa Czajkę, Niewinowską, Hymerową, Feliksa Wieczorka, Czarkowskiego, Jarosza, Władysława Cichonia, Sobola, Wątorowskiego, Jana Bednarka, Wilmańskiego II, Sobolewskiego, Kuczborskiego, Piątka, Borowińskiego, Anielę Kołańczykównę, Bronisława Sokolnickiego i Władysława Pawłowskiego młodszego.

W fabryce tej w ciągu półtora roku enzeterowcy przeprowadzili trzy razy akcję ochronną przeciwko obniżaniu zarobków. Akcję tę prowadził związek zawodowy „Jedność", ale tych dwu organizacyj nie można od siebie odróżniać, bowiem każdy enzeterowiec był członkiem „Jedności" i chociaż nie każdy członek związku zawodowego należał do N. Z. R., to jednak związek działał pod kierunkiem działaczów enzeterowskich.

Organizacja prowadziła również bardzo wydatną działalność kulturalno oświatową. Związek zawodowy „Jedność" mieścił się przy ul. Piotrkowskiej 175, gdzie był ogród, w którym w każdą niedzielę w tych czasach odbywały się przedstawienia, zrazu pod dyrekcją Glogera, potem Myszkowskiego. Trupa aktorska zorganizowana została z robotników. Niezależnie od tego w teatrze „Victoria" odbywały się w każdą środę przedstawienia. Przed spektaklem dyr. teatru Aleksander Zelwerowicz wygłaszał do robotników prelekcję, wyjaśniając im znaczenie i treść wystawionej sztuki.

Nasza robota polityczna w fabryce Bechtolda była podzielona w sposób następujący: przedstawicielem politycznym był Władysław Cynamon, przedstawicielem związkowym Ignacy Sroka, poborcą podatku partyjnego i składek związkowych Ignacy Jędraszczyk.

W 1909 pracowałem w fabryce G. Steigerta róg św. Anny i Promenady. Tu przedstawicielem partyjnym był Władysław Pawłowski starszy. Fabryka ta znajdowała się w obrębie dzielnicy „Zielonej", której dzielnicowym był w owym czasie Nowis.

Jesienią 1910 aresztowani zostali w dzielnicy „Zielonej" Marian Turek, Stanisław Jakubczyk, Stanisław Kłobski i Bolesław Dąbrowski. Nowis spostrzegł się, że jest śledzony przez ochranników i na jakiś czas postanowił zaprzestać działalności politycznej. Przekształcono wówczas dzielnicę na część północną i południową. Kierownikiem jednej części został Antoni Pięgot, drugiej — Ignacy Jędraszczyk.

Mimo zrzeczenia się kierownictwa dzielnicy Nowis nie zachował należytych ostrożności i udzielał się jeszcze w pracy organizacyjnej, skutkiem czego kilkunastu członków partji dostało się do więzienia.

W 1911 nadszedł do organizacji transport nielegalnych broszur. Było to 4 lutego. Gdzie znajdowały się broszury, nie wiedziałem. Nowis mi adresu nie zdradził, postanawiając ze mną pójść sam. Przesadna ostrożność Nowisa sprowadziła nieszczęście. Nowis był śledzony, co zlekceważył i w ten sposób dostałem się na oczy szpiclów.

Broszury, jak się potem dowiedziałem, znajdowały się na składzie w sklepie obuwia Kapuścińskiego przy ulicy Piotrkowskiej 5. Ja zosta-

łem na ulicy, Nowis zaś wszedł w podwórze, wynosząc po chwili paczkę z broszurami. Paczka była ciężka. Postanowiłem dostać się szybko do dorożki. Udało mi się, ale w tej samej chwili zostałem aresztowany przez przebranych po cywilnemu dwóch żandarmów, z których jeden, jak się później dowiedziałem, nazywał się Waszczuk. Tą samą dorożką odwieziono mnie do urzędu żandarmerji przy zbiegu Konstantynowskiej i Pańskiej.

Oprócz bibuły w paczce znaleziono przy mnie kilka pokwitowań od skarbnika N. Z. R. za otrzymany partyjny podatek od członków mojej dzielnicy. Pokwitowania te miałem doręczyć przedstawicielom fabryk, którzy na moje ręce podatek wpłacili.

Przeżyłem wówczas okropne chwile, bowiem wiedziałem, że wysłano natychmiast do mego mieszkania na ul. Nowaka żandarmów na czaty, a tego dnia miało przyjść do mnie około 20 kolegów po bibułę. Z mieszkania mego zatem miała być uczyniona pułapka na członków N. Z. R.

Wtem usłyszałem za drzwiami znajomy głos. Zdawało mi się, że był to głos kolegi Olczyka. Zatem już i jego aresztowali — pomyślałem sobie. Sądziłem, że on pierwszy przyszedł do mego mieszkania po bibułę i odrazu wpadł w ręce żandarmów. Później dowiedziałem się, że to nie był Olczyk, lecz Antoni Hilczer, również jednak enzeterowiec.

Badał mnie żandarm Kraskowski. Podczas badania przyszedłem do przekonania, że żandarmom musiało się w mojem mieszkaniu nie udać. co później okazało się prawdą. Przyczyniło się do tego, o ironjo! rozporządzenie policyjne o zamykaniu bram w przechodnich domach, — ażeby utrudnić robotę polityczną organizacjom nielegalnym. Dom przy ul. Nowaka 18 miał z tego powodu bramę zamkniętą, mieszkańcy zaś tej posesji przechodzili przez posesję Nr. 20, ponieważ dwa te podwórza łączyły się razem. Ochrannicy o tem nie wiedzieli i poczęli dobijać się do drzwi domu Nr. 18, gdzie mieszkałem.

Stróż, widząc przed domem żandarmów, nie pośpieszył poinformować władzy, że należy przejść przez posesję Nr. 20, ale domyśliwszy się w czem rzecz, pobiegł na piętro do mieszkania kolegi Antoniego Pięgota i zawiadomił co się dzieje. Potem dopiero, powoli, jakgdyby o niczem nie wiedząc, stróż zeszedł nadół i poszedł otworzyć żandarmom drzwi.

Pięgot natychmiast zabrał żonę swą i siostrę Julję Wojtczakową i wszyscy troje rozstawili się wpobliżu na ulicy i wszystkich śpieszących do mnie kolegów zawracali. Dzięki temu w ręce żandarmów nie wpadł nikt. Ochrannicy i żandarmi napróżno siedzieli w moim mieszkaniu przez trzy dni i wkońcu zrezygnowali z tej metody wyłapywania moich kolegów.

Badania moje odbywały się bardzo często i trwały długo. Żandarm Kraskowski, który prowadził śledztwo, uciekał się do najrozmaitszych sztuczek, żeby tylko coś odemnie wydobyć. Straszył, groził kajdanami, browningiem, obiecywał wolność za zdradę kolegów, wreszcie począł łżyć. „Wyście rewolucjoniści? powstańcy? — ironizował — wyście tchórze! Nie macie odwagi przyznać się do własnych czynów. Winniście brać wzór z Kościuszki, Łukasińskiego, Wysockiego, którzy nie kry-

li się przed wrogiem, ale występowali przeciw niemu jawnie, nie zapierali się, kim są, mówili śmiało wrogowi w oczy, co myślą o nim i przeciwnicy ich za to szanowali".

Tego rodzaju perory trwały nieraz godzinę i dłużej, najczęściej odbywało się to w nocy. Naczelnik żandarmerji Leontjew razporaz przychodził podczas badań i pytał Kraskowskiego jak idzie śledztwo. Byłem temi badaniami okropnie wyczerpany i zmęczony i wreszcie, gdy mnie znów spytano od kogo mam pokwitowania za wpłacone pieniądze partyjne, odpowiedziałem, że żandarmi mi je dali po aresztowaniu. Kraskowski skoczył jak oparzony i począł kląć na czem świat stoi. Doskakiwał do mnie z pięściami, ale wkońcu uspokoił się i usiadł do pisania mego zeznania, które brzmiało krótko: do winy się nie przyznaje i nic nie wie.

Odprowadzono mnie razem z Hilczerem do więzienia na ulicę Milsza 29 i zaczęły się długie miesiące beznadziejnego siedzenia i oczekiwania na rozstrzygnięcie swego losu.

W więzieniu spotkałem kolegów: Marjana Turka, Bolesława Dąbrowskiego, Stanisława Jakubczyka, Stanisława Kłobskiego i Józefa Jakóbca.

Nie będę opisywał życia więziennego, bowiem lepiej to odemnie uczynili już nieraz literaci, a ja przecie jestem tylko robotnikiem i pisać nie umiem. Nie mogę jednak nie wspomnieć o niektórych faktach, jak np. bicie więźniów. Strażnicy więzienni bili nas o cobądź, nieraz bez powodu. Krzyki bitych więźniów nie dawały nieraz spać współtowarzyszom niedoli.

W kwietniu 1912 przeciw mnie i kilku moim kolegom miała się odbyć rozprawa sądowa, którą odroczono spowodu ucieczki Nowisa, który zwolniony za kaucją 500 rubli, zbiegł do Brazylji. Sprawę w drugim terminie odroczono spowodu niestawienia się głównego świadka naczelnika żandarmerji Leontjewa. Sprawa wreszcie odbyła się w październiku w sali posiedzeń magistratu m. Łodzi.

Jako świadkowie występowali: Leontjew, żandarm Waszczuk i osławiony na gruncie łódzkim „obrusitiel", prof. kaligrafji Jefimow, który występował jako biegły i kłamał jak z nut. Stwierdził on, że charakter pisma na pokwitowaniach jest mój, co było przecież nieprawdą, bo pokwitowania pisał kol. Władysław Pawłowski. Gdy przewodniczący sądu skonstatował różnicę mego pisma z pismem na pokwitowaniach, Jefimow odparł, że polityczni przestępcy są tak przebiegli, iż potrafią pisać różnymi charakterami.

Szybkie zakończenie sprawy i rychłe osądzenie było przez więźniów bardzo upragnione, bowiem jeśli chodzi o skazanych na katorgę, więzienie śledcze do kary się nie wliczało.

A oto sentencja wyroku:

„Wyrok z dnia 8—9 października 1912 r. (st. st.). Na mocy ukazu Jego Cesarskiej Mości, Osobny (otwarty) Departament Warszawskiej Izby Sądowej na sesji sądowej w składzie następującym:

Przewodniczący: W. Bazylewskij, W. R. Doopczew.

Członkowie Komisji Sąd.: I. W. Kniazjew, M. I. Czuganowskij.

Sędziowie gminni: 3-go Okręgu powiatu łódzkiego T. W. Zawadzki, 4-go Okręgu powiatu łódzkiego A. W. Lebelt.

Wójt gminy Babice: F. Meyer.

w obecności towarzysza prokuratora Izby Sądowej W. D. Żyżyna i zastępcy sekretarza W. E. Barcewicza rozpatrywał sprawę włościan, Ignacego syna Szczepana Jędraszczyka, Antoniego syna Romana Hilczera i innych oskarżonych z cz. 2 § 102 Kodeksu Karnego.

Decyzją Osobnego Departamentu Izby Sądowej podsądni włościanie wsi Popowo gminy Niemysłów powiatu tureckiego guberni kaliskiej, Ignacy syn Szczepana Jędraszczyk lat 25, wsi Tarnowski Młyn, gminy Piorunów, powiatu konińskiego, guberni kaliskiej, Antoni syn Romana Hilczer lat 20, mieszkaniec m. Łodzi Stanisław syn Ignacego Cianciara lat 19 i włościjanin wsi Ujazdów gminy Malkowice powiatu opatowskiego guberni radomskiej, Feliks syn Wojciecha Marciszewski lat 32 uznani za winnych w tem, że Jędraszczyk do 22 stycznia, Hilczer do 24 stycznia, Cianciara i Marciszewski do 12 lutego 1911 r. (st. st.) brali udział w przestępczem zrzeszeniu, które przyswoiło sobie nazwę *„Narodowy Związek Robotniczy", wiedząc, iż ma ono na celu gwałtowne, drogą zbrojnego powstania odpowiednio przygotowanych mas ludowych, oderwanie od Imperjum Rosyjskiego gubernij Królestwa Polskiego i utworzenie z nich „swobodnego i niezawisłego państwa polskiego w historycznych granicach Rzeczypospolitej", wiedząc również, że posiada ono oddziały bojowe i składy broni, przyczem udział ten wyraził się w tem, że:*

Ignacy Jędraszczyk był członkiem łódzkiej organizacji wymienionego wyżej zrzeszenia i utrzymując stałą łączność w sprawach zrzeszenia z innemi, należącemi do tegoż zrzeszenia osobami, zbierał składki na zasilenie funduszów zrzeszenia i wpłacał otrzymane pieniądze za pokwitowaniami do kasy jednej z „dzielnic" organizacji łódzkiej zrzeszenia, rozpowszechniał wśród robotników różne wydawnictwa zrzeszenia, za pomocą których robotnicy zaznajamiali się z działalnością zrzeszenia i których treść w zupełności odpowiadała dążeniom i zadaniom tegoż i posiadał dla potrzeb zrzeszenia 472 egzemplarze wydanej przez zrzeszenie broszury pod nagłówkiem „Marjawici w Polsce" i różne notatki dotyczące jego partyjnej działalności jako członka zrzeszenia;

Antoni Hilczer, wszedłszy w charakterze członka w skład organizacji łódzkiej wspomnianego wyżej zrzeszenia i utrzymując stałą łączność w sprawach zrzeszenia z innymi uczestnikami tegoż zrzeszenia i z osobą zarządzającą składem wydawnictw należących do organizacji łódzkiej zrzeszenia, rozpowszechniał te wydawnictwa wśród członków, posiadał dla potrzeb zrzeszenia znaczną ilość wydanej przez zrzeszenie broszury „Marjawici w Polsce" i, przyłączywszy się do bojowego oddziału zrzeszenia, przez czas pewien spełniał obowiązki naczelnika jednej z „piątek" bojowych;

Stanisław Cianciara i Feliks Marciszewski, wszedłszy w charakterze członków w skład organizacji łódzkiej zrzeszenia i będąc w sprawach zrzeszenia w stałej łączności z innymi uczestnikami tegoż zrzeszenia i z osobą zarządzającą składem wydawnictw partyjnych, należącym do organizacji łódzkiej zrzeszenia, rozpowszechniali te wydawnictwa wśród robotników i posiadali dla potrzeb zrzeszenia znaczną ilość wydanej przez zrzeszenie broszury „Marjawici w Polsce", a Marciszewski prócz tego 30 egzemplarzy wydanej przez komitet wykonawczy zrzeszenia odezwy, rozpoczynającej się od słów „Bracia robotnicy", cztery egzemplarze odezwy zarządu zrzeszenia z okazji wyboru członka Dumy Państwowej Ruminkiewicza i jeden egz. „Programu Narodowego Związku Robotniczego".

Przechodząc do określenia kary dla podsądnych, Osobny Departament Izby Sądowej znajduje, że przestępstwo, jakiego dopuścili się podsądni, przewidziane jest w cz. 2, § 102 Kodeksu Karnego i pociąga za sobą karę pozbawienia praw i zesłanie na katorgę na czas od czterech do piętnastu lat, którą to karę w danym wypadku, ze względu na okoliczności sprawy, Osobny Departament Izby Sądowej uważa za sprawiedliwe wymierzyć: Hilczerowi w wysokości 9 lat, a Jędraszczykowi w wysokości 4 lat katorgi, skracając ten czas Hilcze-

rowi, jako niepełnoletniemu, o jedną trzecią, zgodnie z § 57 Kodeksu karnego i skutkami przewidzianemi w §§ 28, 29, 30, 34 i 35 tegoż Kodeksu dla obydwóch, a podsądnym Cianciarze i Marciszewskiemu, ze względu na okoliczności sprawy i z uwagi uznania ich za zasługujących na pobłażanie, zamienić karę katorgi na zesłanie na osiedlenie, zgodnie z § 53 Kodeksu Karnego, wyznaczywszy tę ostatnią karę z temiż skutkami, przewidzianemi w §§ 28, 29, 30, 34 i 35 Kodeksu Karnego dla obydwóch. Opierając się na powyższem i kierując się w odniesieniu do kosztów sądowych §§ 976 i 991 Ustawy o Postępowaniu Sądowem, Osobny Departament Izby Sądowej określa: podsądnego włościanina wsi Popów gminy Niemysłów powiatu tureckiego guberni kaliskiej Ignacego syna Szczepana Jędraszczyka lat 25 i wsi Tarnowski młyn gminy Piorunów powiatu konińskiego guberni kaliskiej, Antoniego syna Romana Hilczera lat 20, na podstawie cz. 2 § 102, 16, a w odniesieniu do Hilczera i § 57 Kodeksu Karnego, pozbawić praw stanu i zesłać w katorgę Jędraszczyka na cztery lata, a Hilczera na sześć lat, ze skutkami przewidzianemi w §§ 28, 29, 30, 34 i 35 tegoż Kodeksu dla obydwóch; podsądnych, mieszkańca m. Łodzi Stanisława syna Ignacego Cianciarę lat 19, i włościjanina wsi Ujazdów gminy Malkowice powiatu opatowskiego guberni radomskiej, Feliksa syna Wojciecha Marciszewskiego lat 33, na podstawie cz. 2 §§ 102, 16, 53 i 17 Kodeksu Karnego, pozbawić praw stanu i zesłać na osiedlenie ze skutkami §§ 28, 29, 30, 34 i 35 tegoż Kodeksu dla obydwóch, a koszty sądowe ściągnąć z majątku wymienionych wyżej podsądnych w równych częściach i solidarnie; dowody rzeczowe pozostawić w aktach".

Po wyroku w drugim czy też trzecim tygodniu zostaliśmy przetransportowani do więzienia w Piotrkowie. Przedtem jeszcze byliśmy odprowadzeni do więzienia na ul. Targową, gdzie naczelnikiem był Jegorow, odznaczający się specjalną nienawiścią do więźniów politycznych.

Było nas razem, przeznaczonych do odtransportowania na Targową, 12 skazanych. Przybyło po nas 12 strażników w pełnej zbroi. Podeszli do nas z zamiarem skucia w kajdany, ale dowódca oddziału policjantów oświadczył, że jeśli damy mu słowo honoru, że nie będziemy próbowali ucieczki, to nas nie skują. Daliśmy mu słowo — każdy osobiście — i poprowadzono nas przez miasto bez kajdan.

Przed więzieniem czekała na nas grupa naszych żon, matek, krewnych i znajomych. Widziałem wśród nich żonę kolegi Marciszewskiego, kobietę dzielną i odważną, o której wszyscy w więzieniu mówili. Wsławiła się ona tem, że kiedy w Wielkanoc przyniosła dla męża i jego współkolegów święcone, a starszy strażnik Iwanow nie chciał święconego dla nas przyjąć, wytrzaskała mu gębę w bramie więziennej. Inni strażnicy potem przez dłuższy czas kpili z Iwanowa.

Na Targowej przyjęto nas wedle zwyczaju — łżeniem i biciem po twarzy przez Jegorowa.

Gdy jeden z więźniów zwrócił uwagę Jegorowowi, że każą się więźniom przebierać w inne ubrania i bieliznę w jednej sali z kobietami, Jegorow kazał mu pisać zażalenie do Pana Boga.

Niczem to było jeszcze w porównaniu z tem co zaobserwowałem w jednym z więzień przesyłkowych w Rosji, gdzie również rozbierano mężczyzn i kobiety w jednej sali do bielizny, co było czynione dla drobiazgowej rewizji więźniów. Wiele przytem każdy musiał przenieść udręczeń i tortur moralnych i fizycznych. Podchodził taki strażnik do pierwszego lepszego więźnia, a znajdując na jego szyi krzyż, bił po

twarzy i krzyczał: „Przestępcą jesteś i krzyż nosisz?" Jeśli więzień nie miał krzyża, wówczas był tak samo bity, słysząc znowu: „Jesteś chrzczony i krzyża nie masz?" Albo znowu: „Czem jesteś z zawodu?" — „Ślusarz" — odparł więzień. „Z taką mordą i ślusarz?" — usłyszał więzień i znowu dostał w twarz.

Katorgę odbywałem w Mikołajowie nad Dnieprem. Po odbyciu katorgi zesłano mnie na stałe osiedlenie na Syberję, gdzie przebyłem 10 lat.

W więzieniu piotrkowskiem spotkałem kolegów: Klemensa Karlińskiego, skazanego na osiedlenie, Białasa — 4 lata katorgi, Czaję — 20 lat katorgi, w 1917 spotkałem na zesłaniu kol. Duraja.

Należy wspomnieć jeszcze kolegę Kłobskiego, który, skazany na bezterminowe osiedlenie na Syberji, zmarł w więzieniu, nie doczekawszy się odtransportowania na zesłanie.

Sprawy Stowarzyszenia

Dekret o zaopatrzeniu osób szczególnie zasłużonych w walkach o niepodległość państwa polskiego

Delegacja Stowarzyszenia naszego dnia 3 czerwca 1935 złożyła na ręce szefa kanc. Prez. Rady Min. memorjał w sprawie ulg dla b. działaczów niepodległościowych. W memorjale tym w p. 3 wyrażone było życzenie, aby niezdolnym do pracy b. niepodległościowcom przyznano renty.

Życzeniom naszym częściowo stało się zadość przez wydanie dekretu Pana Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 13 stycznia 1936 o zaopatrzeniu osób szczególnie zasłużonych w walkach o niepodległość państwa Polskiego (Dz. Ust. R. P. z dnia 15 stycznia 1935, Nr. 3, poz. 8).

„Na podstawie art. 55 ust. (1) ustawy konstytucyjnej i ustawy z dnia 6 listopada 1935 r. o upoważnieniu Prezydenta Rzeczypospolitej do wydawania dekretów (Dz. Ust. R. P. Nr. 81, poz. 501) postanawiam, co następuje:

Art. 1. (1) Zaopatrzenie ze Skarbu Państwa przewidziane dekretem niniejszym służy:

a) osobom szczególnie zasłużonym w walkach o niepodległość Państwa Polskiego, którym nadano za te walki Krzyż Niepodległości, jeżeli osoby te nie posiadają środków zapewniających egzystencję, a nadto, jeżeli utraciły conajmniej 50% zdolności do zarobkowania, stwierdzonej przez komisję lekarską lub przekroczyły 55 lat życia;

b) wdowom po osobach, wymienionych w lit. a) w przypadku, gdy małżeństwo zostało zawarte przez te osoby przed przyznaniem im zaopatrzenia, oraz sierotom pochodzącym z takiego małżeństwa do 18 roku życia włącznie, jeżeli wdowa i sieroty nie posiadają środków zapewniających egzystencję;

c) rodzicom osób zmarłych wymienionych w lit, a) jeżeli zmarły nie pozostawił wdo-

wy lub dzieci i jeżeli rodzice nie otrzymują żadnego innego zaopatrzenia ze Skarbu Państwa, albo też z jakiegokolwiekbądź innego tytułu z funduszów publicznych i nie posiadają innych środków zapewniających egzystencję.

(2) Za nieposiadających środków zapewniających egzystencję należy uważać osoby, których dochód miesięczny z jakichkolwiek bądź źródeł łącznie nie przekracza kwot, określonych w art. 2 ust. (1) lub właścicieli gospodarstw wiejskich o powierzchni nie przekraczającej 5 ha. ziemi użytkowej I lub II klasy, 8 ha. III i 10 ha. IV klasy.

(3) Zaświadczenie o stanie majątkowym oraz o środkach egzystencji wydają powiatowe władze administracji ogólnej.

Art. 2. (1) Zaopatrzenie osób wymienionych w art. 1 ust. (1) lit. a) wynosi miesięcznie:

w miejscowościach zaliczonych do klasy A — 90 zł.
w miejscowościach zaliczonych do klasy B — 70 zł.
w miejscowościach zaliczonych do klasy C — 60 zł.

(2) Przy ustalaniu wysokości zaopatrzeń tych osób obowiązuje podział miejscowości na klasy, ustalony w załączniku do art. 17 ustawy z dnia 17 marca 1932 r. o zaopatrzeniu inwalidzkiem (Dz. Ust. R. P. Nr. 26, poz. 238) z wszelkiemi późniejszemi zmianami i uzupełnieniami.

(3) Zmiany w podziale miejscowości na klasy obowiązują dla wymiaru zaopatrzenia od pierwszego dnia miesiąca, następującego po dokonaniu zmiany.

(4) Przesiedlenie do miejscowości zaliczonej do innej klasy, dokonane po przyznaniu zaopatrzenia nie ma wpływu na zmianę wysokości przyznanego zaopatrzenia.

(5) Jeżeli uprawniony nie ma miejsca stałego zamieszkania w kraju, służy mu zaopatrzenie w wysokości, jak w miejscowości, zaliczonej do klasy B.

Art. 3. (1) Zaopatrzenie wdów i sierot wynosi miesięcznie:

a) dla wdowy — połowę zaopatrzenia zmarłego męża,

b) dla każdej sieroty, której matka pobiera zaopatrzenie — po jednej trzeciej części zaopatrzenia wdowy.

(2) Suma zaopatrzenia wdowiego łącznie z zaopatrzeniem sierocem bądź suma zaopatrzeń sierocych nie może przekraczać 80% zaopatrzenia zmarłego.

Art. 4. Wdowie lub sierotom albo innym osobom, które pokryły koszty pogrzebu osoby, wymienionej w art. 1 ust. (1) lit. a) zmarłej po przyznaniu jej zaopatrzenia, zwraca się koszty pogrzebu w wysokości 1-miesięcznego zaopatrzenia osoby zmarłej.

Art. 5. (1) Osoby, którym przyznano zaopatrzenie, mają prawo do ubezpieczenia na własny koszt siebie i członków swojej rodziny w Ubezpieczalni Społecznej na wypadek choroby na warunkach, które określi Minister Opieki Społecznej.

(2) Osoby zniedołężniałe lub ułomne, potrzebujące nieodzownie stałej opieki, na własną prośbę, a osoby psychicznie chore na wniosek opiekuna, mogą być na koszt Skarbu Państwa umieszczone w odpowiednich zakładach opiekuńczych, względnie w zakładach dla psychicznie chorych, przyczem przez czas przebywania w takich zakładach osoby samotne pobierają jedną piątą część przyznanego im zaopatrzenia, osoby zaś posiadające rodzinę nie pobierającą zaopatrzenia, natomiast w tym ostatnim przypadku żona i dzieci osoby umieszczonej w zakładzie mają prawo do pobierania zaopatrzenia przewidzianego dla wdów i sierot.

Art. 6. Zaopatrzenie będzie wypłacane miesięcznie od pierwszego dnia miesiąca po przyznaniu zaopatrzenia.

Art. 7. Prawo do zaopatrzenia gaśnie w razie:

a) śmierci osoby uprawnionej,

b) zawarcia związku małżeńskiego przez wdowę,

c) ukończenia przez sierotę 18 lat życia lub wcześniejszego zawarcia związku małżeńskiego,

d) skazania prawomocnym wyrokiem na karę dodatkową utraty praw publicznych lub utratę obywatelskich praw honorowych,

e) utraty prawa do Krzyża Niepodległości w innej drodze niż na podstawie wyroku sądowego.

Art. 8. (1) Jeżeli osoba uprawniona do zaopatrzenia uzyska środki, zapewniające jej egzystencję, zawiesza się prawo do zaopatrzenia przez czas posiadania tych środków (art. 1 ust. (2) i (3).

(2) Jeżeli osoba wymieniona w art. 1 ust. (1) uzyska prawo do zaopatrzenia na podstawie innego tytułu: ze Skarbu Państwa, z funduszów samorządowych, z przedsiębiorstw, zakładów albo instytucyj państwowych lub samorządowych w wysokości niższej od zaopatrzenia przysługującego w myśl dekretu niniejszego, wówczas uzupełnia się je do wysokości zaopatrzenia, należnego z dekretu niniejszego.

(3) Kwoty niezależnie pobrane tytułem zaopatrzenia podlegają zwrotowi bez względu na to, czy miało miejsce świadome wprowadzenie władzy w błąd.

Art. 9. (1) Zaopatrzenia przyznaje Minister Skarbu na wniosek Komisji Kwalifikacyjnej dla zaopatrzenia osób szczególnie zasłużonych w walkach o niepodległość Państwa Polskiego, utworzonej przy Ministerstwie Skarbu.

(2) W skład Komisji Kwalifikacyjnej wchodzą: delegat Prezesa Rady Ministrów, jako przewodniczący i 6 członków, z których 4 wyznaczają po jednym Minister Spraw Wewnętrznych, Minister Skarbu, Minister Opieki Społecznej, 2 zaś powołuje Prezes Rady Ministrów z pośród osób oznaczonych Krzyżem Niepodległości. W ten sam sposób będą wyznaczeni i powołani zastępcy członków Komisji Kwalifikacyjnej.

Art. 10. Wykonanie dekretu niniejszego porucza się Ministrowi Skarbu w porozumieniu z Prezesem Rady Ministrów oraz z Ministrami: Spraw Wewnętrznych, Spraw Wojskowych i Opieki Społecznej.

Art. 11. Dekret niniejszy wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Prezydent Rzeczypospolitej (—) *I. Mościcki.*

Prezes Rady Ministrów (—) *Marjan Zyndram-Kościałkowski.*

Minister Skarbu (—) *Eugenjusz Kwiatkowski.*

KRONIKA

Z ODDZIAŁU SOSNOWIECKIEGO

Zarząd powołanego do życia oddziału w Sosnowcu ukonstytuował się następująco: Józef Drzewiecki — prezes, Jan Piszczyk — wiceprezes, Michał Wolny — sekretarz i Michał Kwiatkowski — skarbnik. Dnia 29 grudnia 1935 oddział urządził opłatek dla członków i zaproszonych gości. Skromna ta uroczystość koleżeńska odbyła się w lokalu Zw. Strzeleckiego przy ul. Lisiej 1.

ODDZIAŁ W ZDUŃSKIEJ WOLI

Dnia 16 lutego r. b. w lokalu własnym przy ul. Belwederskiej 11 w Zduńskiej Woli odbyło się doroczne walne zebranie członków miejscowego oddziału. Zebranie zagaił prezes miejscowego oddziału Lucjan Neugebauer, proponując na przewodniczącego Wincentego Banacha, na sekretarza Ignacego Maciejewskiego. Zebrani wybór przyjęli. Kol. Banach zaprosił ponadto do stołu prezydjalnego kk. Józefa Pająka i Józefa Matersa. Omówiono wiele spraw organizacyjnych.

Z ODDZIAŁU WARSZAWSKIEGO

Dnia 15 stycznia r. b. w lokalu Stow. oddziału warszawskiego na Nalewkach 8 kol. Jan Karol Szczeblewski wygłosił odczyt p. n. „Przed powstaniem N. Z. R.".

Dnia 29 stycznia ten sam prelegent wygłosił drugi skolei odczyt, którego tematem były wspomnienia z działalności Zw. im. Jana Kilińskiego i powstanie N. Z. R.

Trzeci odczyt, jako uzupełnienie dwu poprzednich, kol. Szczeblewski wygłosił dnia 12 lutego. Tematem tego odczytu były dzieje tajnych drukarń w Warszawie w okresie powstania N. Z. R. do 1907.

Dnia 26 lutego r. b. w tym samym lokalu kol. Jatczyk wygłosił odczyt p. n. „Wczoraj i dziś narodowego ruchu robotniczego".

N. Z. R. W „POLSKIEM RADJO"

Z rozgłośni łódzkiej popłynęły na fale eteru słowa wspomnień o niepodległościowej działalności N. Z. R. w odczycie p. n. „Wśród niepodległościowców łódzkich". Odczyt ten wygłosił dnia 7 lutego r. b. red. Jan Wojtyński, który wspomniał również o istnieniu naszego Stowarzyszenia.

NIE ŻYJĄ



W Warszawie zmarł ś. p. Józef Wasilewski, jeden z członków założycieli naszego Stow. i b. członek zw. im. Jana Kilińskiego i N. Z. R., Ś. p. Józef Wasilewski był niestrudzonym bojownikiem o wolność i niepodległość ojczyzny, pracując energicznie przy nielegalnych wydawnictwach enzeterowskich. Pierwsza nielegalna drukarnia i pierwsze numery nielegalnego „Kilińskiego", jeszcze wtedy gdy był organem Narodowej Młodzieży Rzemieślniczej i Robotniczej, jeśli chodzi o techniczne ich wykonanie, były dziełem Wasilewskiego.



W Łodzi zmarł ś .p. Ignacy Raszewski, wybitny działacz N. Z. R. w dzielnicy „Zielonej" i członek zarządu tej dzielnicy w okresie lat 1905—7.

W Częstochowie zmarł ś. p. Ludwik Dziąg, cyzeler, jeden z wybitniejszych członków N. Z. R. dzielnicy „Powiśle" w W-wie. Ś. p. Dziąg należał do organizacji narodowej od najdawniejszych czasów, był członkiem jeszcze związku im. Jana Kilińskiego, członkiem red. nielegalnego „Kilińskiego" w 1905. Pracował w dziedzinie tajnego nauczania, kolportażu i transportu bibuły, oraz organizował demonstracyjne wystąpenia przeciw władzom moskiewskim w dni galówek. Odznaczony był Krzyżem Niepodległości.





W Łodzi zmarł ś. p. Roch Bednarczyk, przędzalnik, członek Stow., biorący udział w pracach N. Z. R. przez cały czas jego istnienia. S. p. Bednarczyk jeszcze w 1898 wstąpił do patrjotycznych kół robotniczych i stał wiernie przy sztandarze narodowym do końca swego życia.



W Pabjanicach zmarł ś. p. ,Jan Karolczak, tkacz, członek N. Z. R. od 1905 do ostatnich dni istnienia organizacji.



Dnia 11 listopada zmarł ś. p. Władysław Wagner, członek oddziału radomskiego Stowarzyszenia. Ś. p. Władysław Wagner należał do narodowej organizacji od 1903 i w ruchu narodowym robotniczym i niepodległościowym brał wybitny udział. W 1905 za udział w zgromadzeniu gminnem został aresztowany i oskarżony o antypaństwową działalność, za co skazano go administracyjnie na więzienie. W życiu prywatnem pełnił ostatnio obowiązki starszego referendarza P. K. P. w Radomiu.



W październiku r. ub. zmarł w Zgierzu ś. p. Józef Ozorowski, członek N. Z. R. od 1905 do ostatnich dni istnienia organizacji.



W Zgierzu zmarł ś. p. Władysław Radziejewski, tkacz, członek N. Z. R. od pierwszych dni jej powstania.

Jesienią r. ub. zmarł w Zgierzu ś. p. Michał Rygiel, członek narodowej organizacji i potem N. Z. R. od pierwszych dni budzenia się wśród robotników idei niepodległości. W 1908 był aresztowany za kolportaż nielegalnych pism enzeterowskich i pracę narodową wśród robotników zgierskich.



Aktualne rozmowy z kolegami

K o l e g o m z P a b j a n i c. Otrzymaliśmy kilka egz. dwu pism pabjanickich w których toczy się spór o to, kto zabijał w czasach walki z caratem swych braci, kto świadczył przeciw zabójcom, kto jest bohaterem, kto walczył, kto zwalczał. kto zdradzał i t. p. Wyjaśnienie tych spraw byłoby z punktu widzenia historycznego pożądane i może wyjaśniłoby wiele z owych czasów, łagodząc waśnie, zacierając przykre zgrzyty, które spowodowały wówczas bratni rozlew krwi, a co najważniejsza, dałoby historykom możność gruntownego zbadania tych czasów, gdyby w tem wszystkiem, co wynika z gazet pabjanickich" nie wyzierała nienawiść. Kto nienawidzi nie może być historykiem, bo wówczas staje się oszczercą. O tych sprawach będziemy pisali, narazie gromadzimy materjały, segregujemy je i badamy. Nie wolno nam pochopnie, jak to czynią Wasi pabjaniccy dziejopise, podawać do publicznej wiadomości faktów nietylko niesprawdzonych gruntownie, ale w dodatku nasyconych jadem nienawiści. Szanujemy naszą pracę i pragniemy aby szanowali ją i inni, nie możemy i nie chcemy pisać nietylko z nienawiścią, ale nawet z uprzedzeniem. Mogą to czynić ludzie, którym chodzi nie o prawdę, lecz napaść, mogą tak postępować i tak postępują ci co się za „Prawdą" kryją, ale znają ją o tyle, o ile ona dogadza ich politycznej robocie. My z takimi ludźmi polemizować nie będziemy. Będziemy mówili z najgorszym naszym wrogiem, ale tylko wówczas gdy ten wróg będzie miał dobrą wolę tembardziej, że chodzi tu o przeszłość, która wymaga światła, nie zaciemniań, rzetelnej prawdy, nie szyldowej.

Jakże możemy polemizować piórem z ludzmi, którzy nawet dobrze pisać nie umieją? Piszą naprzykład: „Narodowy Związek Robotniczy w okresie wyborów do Dumy Państwowej, a w wyniku której zostali zabici dwaj człon-

kowie N.Z.R"... Kto to zrozumie? Wynikałoby z tego, że wynikiem Dumy Państwowej było zabicie dwóch enzeterowców. Czyli inaczej Duma zabiła. Tymczasem zabicie dwóch enzeterowców na wiecu wyborczym w Pabjanicach dnia 8 kwietnia 1906 było wynikiem strzelania przez socjalistów, nigdy zaś Dumy. Tyle warte są wszystkie inne argumenty tych ludzi.

Piszą dalej dziejopise pabjaniccy, rzecz oczywista z wielkim patosem i w stylu wiecowym sprzed 30 lat, wspominając i szczęk kajdan i akompanjament złorzeczeń, i brzęk ostróg, i mroźne tundry Sybiru... Wiemy, wiemy, znamy to bardzo dobrze, bośmy się ich tak samo wiele nasłuchali i naszych kolegów także wielu zgniło na Sybirze i byli nietylko bici przez Moskali, ale i mordowani przez kochanych naszych braci, socjalistów. Tym stylem pisze się powieści, poematy, ale tak nie można pisać wspomnień historycznych. Chyba że chodzi o wyciskanie łez, co znowu nie jest zadaniem historyka, który musi być objektywny, musi wnikać i analizować bez patosu, bez demagogji, bez szumnych frazesow, musi oceniac fakty spokojnie, rzeczowo. Ale o to mniejsza. Uderza nas tam inna rzecz: powoływanie się co kilka zdań na Tego, którego imię zapisało się w dziejach Polski złotemi zgłoskami. Pod komendą Piłsudskiego walczyło przecież i wielu naszych kolegów w Legjonach, wielu z nich zginęło na polach bitew, są tam nawet Wasi pabjaniccy koledzy. Powoływanie się na imię Piłsudskiego w oszczerczej kampanji przeciwko przeciwnikom politycznym jest niskie i wstrętne. Wielki ten człowiek powiedział kiedyś swoim dawnym towarzyszom, którzy w Polsce niepodległej przyszli doń, wyrażając nadzieję, że będzie wprowadzał w życie socjalizm, tak przykre słowa, że nie śmiemy ich tutaj powtórzyć, a dziejopise pabjaniccy robią z Niego dzisiejszego pokroju socjalistę. Piłsudski działał w partji socjalistycznej nie dla socjalizmu, lecz dla Polski i gdy uzyskała niepodległość, odtrącił od siebie partję socjalistyczną jako balast w Jego działaniu. To przecież wiadomo całej Polsce, ta prawda nie dotarła tylko do „Prawdy" pabjanickiej.

Czytamy znowu gdzieindziej, że „bójkę sprowokował członek N. Z. R., uderzywszy pięścią w twarz Pawła Łaskiego który chciał wejść na wiec" a gdzieindziej: „Abstrahując od innych oskarżonych, stwierdzamy, iż Jan Karczewski i Paweł Łaski podczas owych krwawych zajść znajdowali się zdala od Domu Ludowego". Raz piszą, że chciał wejść na wiec, potem, że był zdala od miejsca gdzie wiec się odbywał. Chciał wejść na wiec i został uderzony w twarz przez jednego z uczestników wiecu, ale to wszystko odbyło się nie na wiecu tylko gdzieś zdala? Więc gdzie? Na wiecu, czy zdala od miejsca gdzie odbywał się wiec? Bo jeżeli zdala, to nie na wiecu i wówczas to uderzenie nie mogło spowodować strzałów na wiecu, a jeśli na wiecu, to Paweł Łaski był wśród socjalistów, którzy siłą chcieli dostać się na wiec.

Piszą dalej, że „Paweł Łaski i inni nie brali udziału w tłumie i nie napadli połączonemi siłami na publiczne zebranie" Może Łaski tam nie był, choć „Prawda Pabjanicka" sama pisze, że „chciał wejść na wiec i usłyszeć pienia pochwalne na cześć Dumy", ale ci „inni", których poza wymienionymi w akcie oskarżenia było przecież bardzo wielu, bo aż stanowili „tłum, z którego padły strzały" byli tam napewno. A ten „tłum z którego padły strzały", z kogo się składał? Wasi dziejopise pabjaniccy nie mają odwagi postawić kropki nad i, tak manewrują słowami, żeby czytelnik raczej się domyślał kto tam był, albo żeby, skołowacony krętackiemi argumentami, wogóle do prawdy nie dotarł. Z „Prawdy Pabjanickiej" wynikałoby, że socjaliści chcieli dostać się na wiec, posłuchać co będzie się tam mówiło, lecz „uzbrojona w broń palną bojówka"

nie chciała ich dopuścić, a potem z jakiegoś nieokreślonego bliżej tłumu który niewiadomo skąd się tam wziął, padły strzały i dwóch enzeterowców zabito. A może to ta właśnie „uzbrojona w broń palną bojówka" zabiła swoich kolegów? Przecież socjaliści chcieli tylko dostać się na wiec, ażeby posłuchać... Patrzcie jacy ciekawi, jacy żądni wiedzy z ust mówców narodowych. I nadstawiając uszy, żeby słuchać, trzymali palce na cynglach, ot tak sobie dla zabawy, a tu, „uzbrojona bojówka"... I w rezultacie ktoś tam dostał w twarz od „uzbrojonych", a „nieuzbrojeni" zastrzelili dwóch uzbrojonych. Ale to nie oni, broń Boże, to „jakiś tłum".

Trzeba sobie także wiele wyjaśnić w sprawie walk o niepodległość, o których dzisiaj niektórzy socjaliści, a w tej liczbie i wasi pabjaniccy, tak dużo krzyczą i tak głośno, żeby czasem nie przyszedł ktoś i nie odkrył prawdziwych kart tych walk. Oni walczyli o niepodległość! Bardzo to pięknie i bardzo się z tego należy cieszyć, ale dowiadujemy się o tem zbyt późno, bo dopiero w Polsce niepodległej. Czyn Piłsudskiego — Legjony — to nie była wcale a wcale impreza socjalistyczna. Niechaj sobie to socjaliści wybiją z głowy, bo społeczeństwo nie składa się z takich matołów, za jakie go ci panowie mają. Pod komendę Piłsudskiego poszli, oprócz pewnej garstki Jego bliższych współtowarzyszy pracy z P.P.S. również i Zarzewiacy, nasi współideowcy (z „Zarzewia" rekrutowało się wielu przywódców N.Z.R.), poszło tam wielu pabjaniczczan i inni, którzy z socjalistami nie tylko nic wspólnego nie mieli, ale stali na przeciwnym krańcu ich międzynarodowej idei. Jeśli o te walki chodzi, to lepiej niechaj ci dziejopise siedzą cicho. Ale dziejopisom pabjanickim chodzi zapewne o walki z lat 1905—7. Jeśli tak, to przecież nie straciliśmy pamięci i przypominamy sobie jak to narodowców bito po fabrykach za okrzyki na cześć Polski, jak socjaliści kpili z „białej gęsi" i jak dowodzili na wiecach i w swoich publikacjach, że walczyć o Polskę, to wymysł burżuazji. Jeśli oni strzelali do żandarmów, jeśli rzucali bomby na gubernatorów, jeśli napadali na kasy pocztowe, to przecież czynili to nie w imię haseł na rzecz Polski, ale dla rewolucji, która tak samo toczyła się w całem imperjum rosyjskiem. To była rewolucja o obalenie cara i wprowadzenie w państwie rosyjskiem socjalistycznego ustroju. To nie była walka o niepodległość Polski! Oczywiście dzisiaj tak trzeba mówić, bo to i wygodnie i korzystnie, ale historja toczy się swoją koleją i na pabjanickich dziejopisów nawet nie zwróci uwagi.

Prawda, było w P. P. S. wielu ludzi z Piłsudskim na czele, którzy marzyli i działali na rzecz Polski, ale ci w latach 1905 i 7 byli w znikomej mniejszości w partji, która dostała się w pakt żydów i ludzie ci musieli potem rozbijać partję, tworząc Frakcję Rewojucyjną, bo P. P. S. oddała się w niewolę ideową nawskroś kosmopolitycznej Socjal Demokracji. A czy przypadkiem nie N. Z. R. swoją zdecydowaną postawą niepodległościową, swoim partjotyzmem przyczynił się walnie do tego, że robotnik polski, ten ich robotnik socjalistyczny buntował się przeciwko przywódcom za ich kosmopolityzm i to przyspieszyło rozłam? Niech dziejopise pabjaniccy dobrze się namyślą i dobrze rzecz zbadają zanim sięgną po pióro, bo łatwo się ośmieszyć.

Jeżeli oni walczyli o niepodległość w 1905—7, a myśmy ich zwalczali, to dlaczego w każdym procesie przeciwko enzeterowcom sądy rosyjskie skazywały naszych kolegów za dążenie do oderwania od Cesarstwa gubernij Królestwa Polskiego, podczas gdy socjalistów skazywano za dążenie do zmiany ustroju społecznego w „Gosudarstwie"? Jest chyba dość jasne po czyjej stronie była Polska.

Ale Was, Koledzy, nie potrzebujemy o tem przekonywać, a z socjalistycznymi dziejopisami pabjanickimi polemizować trudno, bo z każdego ich słowa płynie dawna sprzed 30 lat złość i nienawiść, która była jedną z głównych przyczyn zbrojnycb wystąpień „jakichś tłumów", które do nas strzelały i mordowały polskiego robotnika za narodowe przekonania i miłość Ojczyzny. Zapach tej krwi czuć ze szpalt „Prawdy Pabjanickiej", która dość przejrzyście podjudza, bo nuż znajdzie się jakiś pabjanicki mściciel... Tym ludziom krew zdaje się być odżywką, bez której popadają conajmniej w zamroczenie.

Kol. Piotrowi Michalskiemu z Warszawy.

Nawiązując do pisma okolnego Zarz. Stow. rozesłanego oddziałom z okazji Świąt Bożego Narodzenia piszecie: „Sądząc na podstawie tych członków, którzy zierają się w sali Stowarzyszenia, są to ludzie niezamożni, często nawet nędzarze. I do Stow. garną się nie po to — co z przykrością trzeba stwierdzić — ażeby cieszyć się, że Polska niepodległa: cel ich marzeń, cel walki został osiągnięty, lecz żeby się poskarżyć, pożalić, znaleźć, jak to mówią, serce współczujące, gdyż wspólne przeżycia, tak jak wspólna niedola, wspólny zawód łączy i jednoczy ludzi. A i łudzą się — może nie bez podstaw — że jeszcze da się coś zrobić. Bo to przecież są ludzie dziś już mocno dojrzali, którzy kiedyś byli romantykami, lecz to „dziś" nauczyło ich patrzeć na świat praktycznie". Dlatego właśnie sądzicie, że myśl wydawania stałego organu Stowarzyszenia jest zupełnie racjonalną, proponujecie jednak zrezygnowanie z drogiego numeru „Kilińskiego" i wydawanie pisma bardzo taniego i takiego, któreby poruszało sprawy obchodzące nas dzisiaj, sprawy bieżące. Jednem słowem powinniśmy zapomnieć o tem co było wczoraj, a myśleć o tem, co jest dzisiaj. Praktycznie rzecz biorąc, może macie słuszność, ale tylko częściową. Jesteśmy grupą b. enzeterowców i to grupą nieliczną. Jeśli chodzi o Stowarzyszenie, ma ono nakreślone granice w statucie, który zresztą sami sobie nakreśliliśmy. Pisma aktualnego, poruszającego zagadnienia dnia dzisiejszego, nam jako Stow. byłoby trudno wydawać, nawet gdybyśmy znaleźli na ten cel fundusze. Pismo takie moglibyśmy wydawać tylko poza Stowarzyszeniem, czyli byłby to organ b. enzeterowców — jeśli już o sobie chcemy mówić — niezwiązanych z sobą żadnemi węzłami organizacyjnemi — jedynem łączącem nas ogniwem byłaby nasza przeszłość. A zatem doszliśmy do tego miejsca, z któregożeśmy wyszli. Temu zadaniu służy Stowarzyszenie.

Gdyby taka sobie nieliczna grupa ludzi chciała wydawać takie pisemko, może znalazłoby ono i pewną ilość czytelników, ale przecież tych czytelników musiałoby to pismo prowadzić do jakiegoś celu. Do jakiego? Siłą faktu musielibyśmy wtedy stać się jakąś grupą polityczną czy społeczną, a więc należałoby stworzyć jeszcze jedną partję. Poco? Czy uważacie, że jest ich za mało?

Ale coś tu musi szwankować, skoro Wy, jak należy przypuszczać, nie znaleźliście dla siebie miejsca w żadnej z istniejących partyj i chcielibyście o sprawach politycznych mówić w Stowarzyszeniu. Jesteśmy też pewni, że ludzi Wam podobnych jest w naszem Stow. i poza nami bardzo wielu. Co to znaczy? To znaczy, że istniejące partje polityczne nam nie dogadzają. A może nam się tylko tak zdaje. Może jednak wokół nas coś się tworzy, coś się buduje, tylko my tego nie widzimy?

Nasuwałby się tutaj wniosek: albo my już nie jesteśmy zdolni do niczego i nie widzimy życia, albo też jesteśmy jeszcze mocni i szukamy idei, której dotychczas nie zdołaliśmy odnaleźć, której łakniemy i pragniemy, a której w Polsce jeszcze niema.

Może za wiele powiedzieliśmy, bo jednak idee są, żyją i ludzie dla tych idei pracują, oddają im swoją młodość, swoje zdolności, swoje życie. Ale są to chyba idee zbyt odległe od tych uczuć, które kierowały nami ongiś, gdyśmy działali w N. Z. R., skoro żadna

z nich nas nie pociąga, nie porywa, skoro myśli nasze krążą około naszych spraw, trosk, żalów i bólów, a trudno im zapłonąć ogniem zapału i pracy dla dobra ogólnego. Tak zapewne być musi, skoro klasa robotnicza polska, już choćby tylko ta jej część, która ongiś jednoczyła się pod sztandarem N. Z. R., jest dzisiaj rozbita na grupy, grupki, cząstki, związki, partje. Ileż to mamy dzisiaj w Polsce grup politycznych robotniczych, powstałych z ludzi umiejących kiedyś pracować pod jednym sztandarem N. Z. R. Ruch narodowy robotniczy w Polsce nie jest jednolity jak było ongiś. Czy nie znaczy to, że brak temu ruchowi jakiejś wspólnej cechy? Idei? Oczywiście może tu być mowa tylko o wielkiej idei, takiej, *którąby porwała wszystek lud roboczy czujący i myślący po polsku.* Idea, któraby wchłonęła w siebie wszystko to co dziś tego robotnika dzieli.

Takiej idei niema. Taka idea jednak musi się zrodzić. Tymczasem my, jako Stowarzyszenie, żyjemy przeszłością, żyjemy tradycją naszych uczuć narodowych. Poszczególni członkowie Stow. przecież należą do takich czy innych grup politycznych, ale to jest sprawa ich przekonań i widocznie wielu naszym kolegom wystarcza ta czy inna partja polityczna, choć nie wystarcza wszystkim. Co nam przyniesie jutro, nie wiemy, choć wierzymy, że robotnik polski musi prędzej czy później zjednoczyć się pod jednym wspólnym sztandarem walki o lepsze jutro. Sztandarowi temu musi jednak przyświecać *wielka myśl przewodnia.*

Piszecie dalej, że członkowie Stow. to przeważnie robotnicy, spośród których jest wielu bez pracy i narzekają, skarżą się, że im źle i przyszli do Stow. po to, żeby sobie w życiu poprawić.

Mój Boże, cóż mamy na to odpowiedzieć. Komu jest dziś dobrze? Pewnej grupie ludzi wybranych, ale całemu społeczeństwu, ale wszystkim jest źle. Pewnie, że jednym jest mniej, innym więcej źle, ale biadanie nic tu nie pomoże. Nie pomoże także wymyślanie. Nasze biadanie w Stowarzyszeniu nikogo nie rozczuli, bo nas nie słuchają litościwi ludzie, a wymyślanie chyba tembardziej nie przyniesie pożytku, zresztą, kto już wszedł na drogę biadolenia, ten jest stracony jako człowiek walki. Człowiek, skarżący się przed równym sobie bratem i na tem poprzestający, jest duchem stojącym nad grobem i tym trzeba tylko, o ile możności, pomóc dźwigać krzyż Pański i współczuć. Ci ludzie należą do przeszłości.

Nie znaczy to bynajmniej, że mamy rezygnować z pracy nad przyszłością. O, nie! Jest wpośród nas jeszcze wielu pełnych zapału i tężyzny duchowej i, chwała Bogu! tych ludzi jest nawet w Stow. dużo. Na tych trzeba patrzeć, kolego Michalski, i w tych widzieć sprawdzian mocy i siły Stow., a nad tymi, którzy marzą tylko o nagrodzie za to co zrobili wczoraj, nie myśląc o jutrze — nie swojem, lecz społecznem — przejdźmy do porządku, bo to już nie tytany.

Tyle jeśli chodzi o przeszłość. Inna rzecz, jeżeli mamy być ludźmi praktycznymi, jak piszecie, zostawiając romantyzm poza sobą. Tak rzeczy sądząc, trzeba nam wyciągnąć rękę do wszystkich kolegów i w miarę możności pomagać im w życiu, bo pomagając innym pomagamy sobie. Stow. co może — robi, ale nie należy zapominać, że jesteśmy z tych, którzy wprawdzie walczyli o niepodległą Polskę, ale którzy w Polsce tej nie ważą na szali. Myśmy byli romantykami, jak mówicie, i bardzo nam to pochlebia, ale romantyzm snać dzisiaj nie popłaca, skoro mamy u siebie tyle nędzy i narzekania. Mimo to wielu z nas jest dzisiaj romantykami i tem żyjemy, to nas porywa do pracy w Stowarzyszeniu i wierzymy, że kiedyś nasz romantyzm znowu odżyje. Praca nasza jest coprawda bardzo skromna i dlatego może nie daje rezultatów, jakie chcieliby niektórzy z biadujących i żalących się kolegów widzieć, ale chciejmy patrzeć bez uprzedzeń i okiem — romantyka, a ujrzymy więcej.

Reszcie treści Waszego pisma dajmy pokój, weszlibyśmy bowiem w zbyt zawiłe roz-

ważania filozoficzne na temat dobra i zła, a toby nas zaprowadziło do absurdu. Toby nam nietylko niczego nie rozwiązało, ale przeciwnie — zagmatwało. Jedno tylko możemy dodać, że tysiące mędrców i filozofów kłóci się o to od wieków i, jak dotąd, zagadnienia nie rozstrzygnęli.

Kol. F. Dzikiewiczowi z Żyrardowa.. Wasze oburzenie, nadesłane pismem do redakcji, że na tak pięknym amarancie, zamiast prawdziwego białego orła, ujrzeliście jakiś zygzak, bardzo nas wzruszyło. Twierdzicie, iż znacie innego orła i walczyliście o niepodległość pod sztandarem, na którym znajdował się orzeł inny, polski. „Już mamy i tak dość tego wszystkiego — piszecie na zakończenie Waszego listu — a tu jeszcze i ci narodowcy wykoślawiają godło Polski". Bardzo nas wasze oburzenie cieszy, znaczy to bowiem, że w sercach naszych enzeterowskich weteranów uczucie miłości ojczyzny jest ciągle bardzo mocne, ale nie macie słuszności. Zajrzyjcie do encyklopedji i poszukajcie sobie opis historji orła białego, a przekonacie się, że orzeł ten przechodził ewolucje i w różnych epokach dziejów używano orła różnych stylów, czyli rysunków. Jeśli to jest orzeł biały, to jest polski ,bo żadne państwo na świecie, ani żaden naród orła białego jako godła nie używa. Wam chodzi zapewne o taki rysunek orła, jaki używaliśmy w czasach naszej walki o niepodległość i jaki widniał na naszych sztandarach enzeterowskich. Otóż nie zapominajcie Szanowny Kolego, że mamy obecnie własne państwo polskie, które orła tego właśnie rysunku uznało za swoje państwowe godło i specjalnym dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej zabronione jest dzisiaj używanie jako godła orła państwowego poza instytucjami i urzędami państwowymi. Zwróćcie specjalną uwagę na rysunki orłów wszystkich innych wydawnictw nieurzędowych, a przekonacie się, że nikt orła rysunku upaństwowionego nie używa, nie możemy też używać go i my. Inna sprawa czy Wam odpowiada nasz rysunek, ale to już kwestja stylizacji. Można używać różnych stylizacji i zawsze będzie to ten sam orzeł polski. Przecież i na okładce jubileuszowego numeru „Kilińskiego" był inny orzeł. Wprawdzie górna jego część była bardziej podobna do naszego dawnego orła, ale obcięliśmy mu całkiem nogi i jakoś nie zwróciliście na to uwagi. To nie jest wykoślawienie, jak twierdzicie, ale stylizacja. Przecież i nasza odznaka, którą uczestnicy zjazdu jubileuszowego w Łodzi nabywali i którą zapewne znacie, też ma orła o innym rysunku i nawet bardzo zbliżonym do rysunku na okładce „Kilińskiego".

OFIARY

Na fundusz wydawniczy złożyli: Ludwik Piętka 20.00 zł. Roch Gajewski 10.00 zł.

Redaktor: STANISŁAW NOWICKI

Redakcja i Administracja: Sosnowa 13 m, 11 tel. 224-75

Wydawca: Zarząd Główny Stowarzyszenia Kilińczyków i Enzeterowców

Zakł. Graf. „Drukarnia Bankowa", Warszawa, Moniuszki 11

96

Cena zł. 1.

„DRUKARNIA BANKOWA", W-WA, MONIUSZKI 11